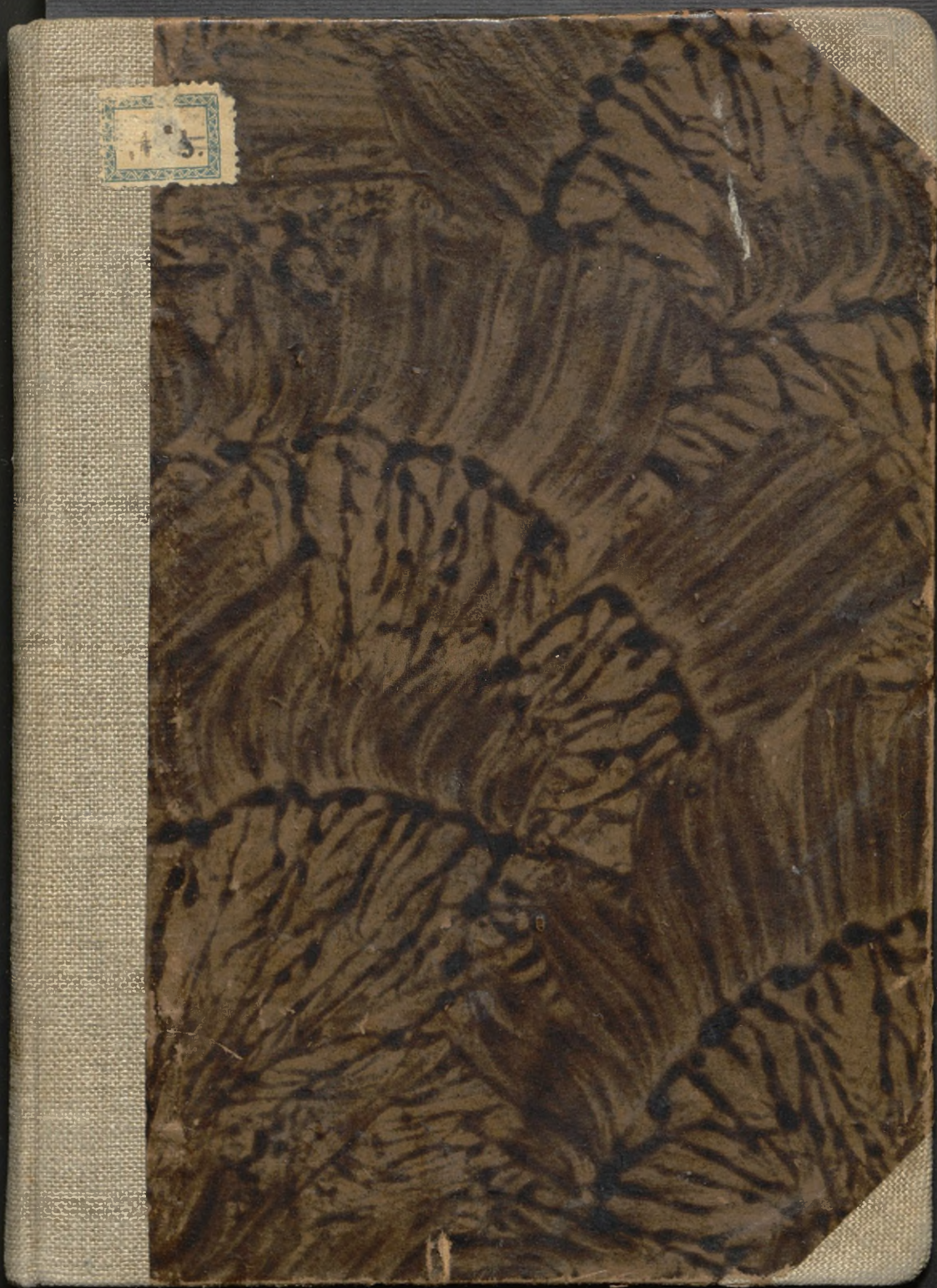
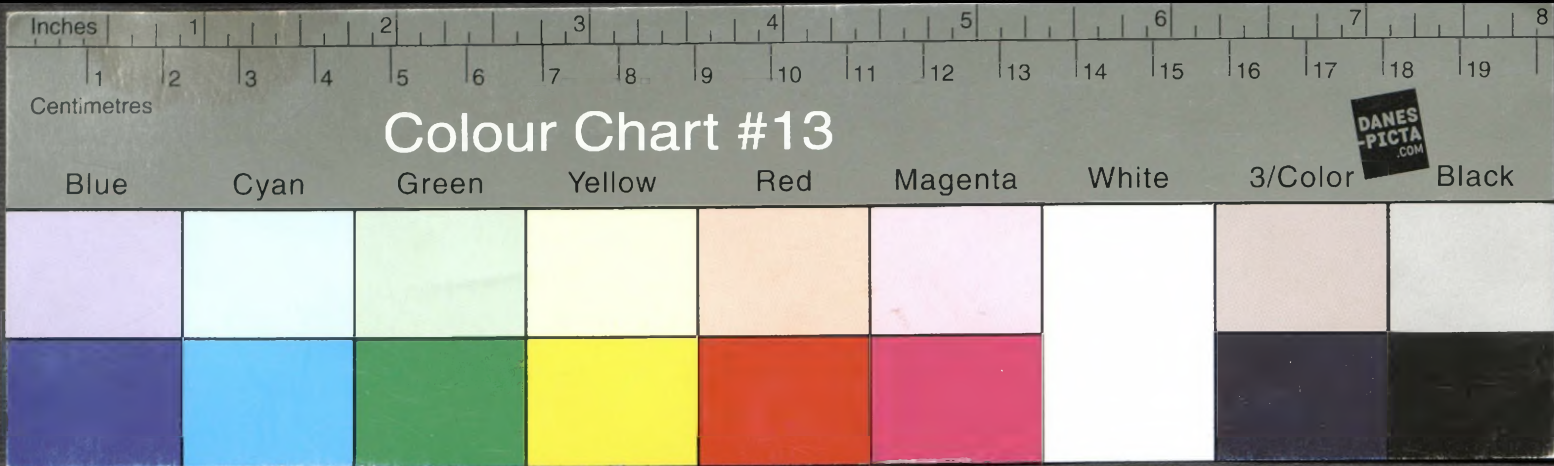
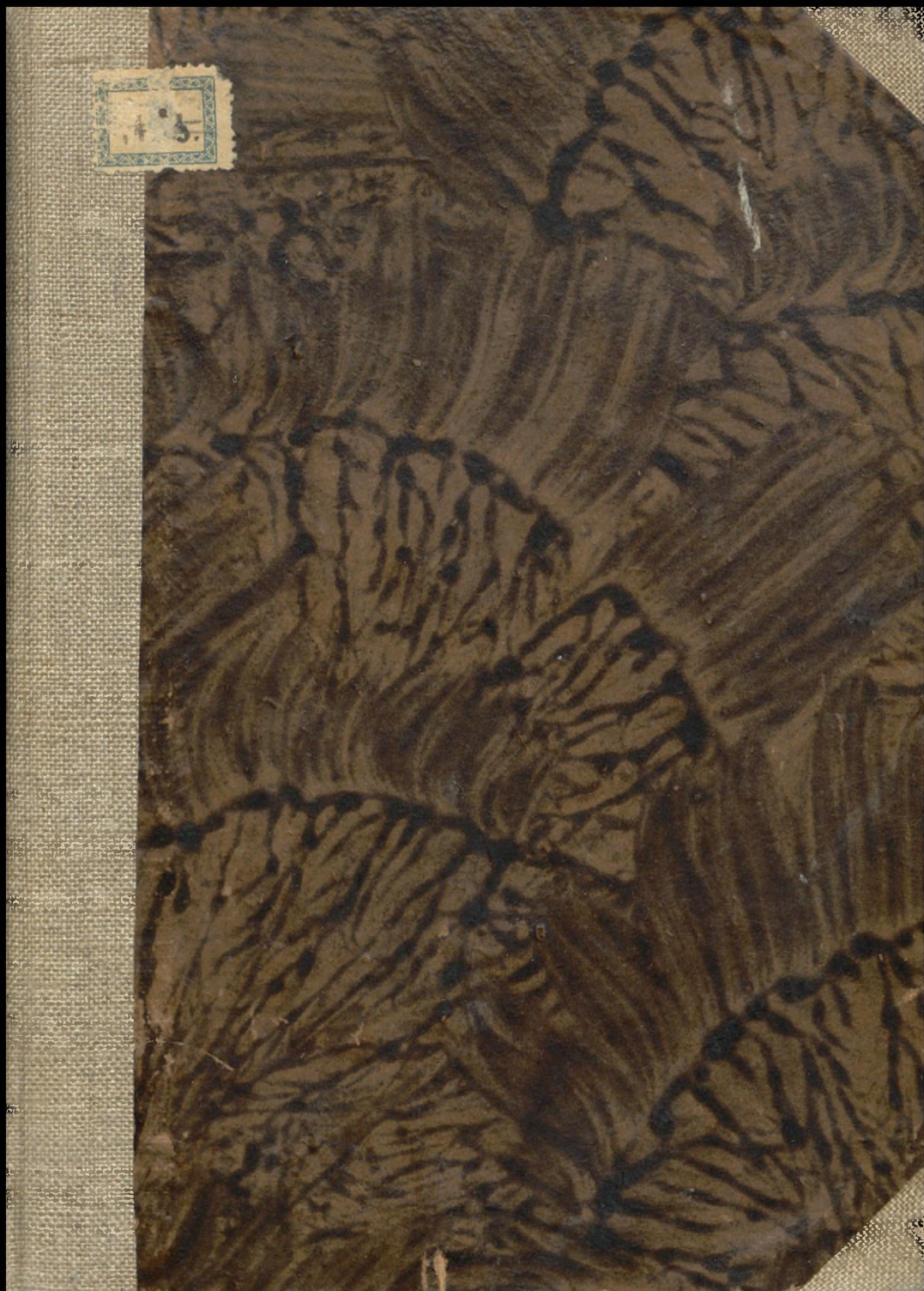






ARCHIWUM
Stowarzyszenia b. Więźniów Politycznych

SP 15

Nr 1103.

JAN KWAPIŃSKI

**ORGANIZACJA BOJOWA
KATORGA
REWOLUCJA ROSYJSKA**

**Z MOICH WSPOMNIENÍ
1905 — 1919**

**PRZEDMOWA
IGNACEGO DASZYŃSKIEGO**

WARSZAWA 1928

KSIĘGARNIA ROBOTNICZA — WARECKA 9

6925/1



ODBITO W Drukarni „ROBOTNIKA“, WARECKA 7.

KILKA SŁÓW PRZEDMOWY

Kto chce zrozumieć charakter Polskiej Partji Socjalistycznej ten niechaj czyta tego rodzaju wspomnienia, jak te, które wyszły z pod pióra tow. Jana Kwapińskiego.

Niema socjalistycznej partji w Europie, któraby miała dzieje podobne do P. P. S., jak nie miał socjalizm nigdzie na świecie tak strasznych warunków państwowych, jak w Polsce pod zaborem carskim!

Chcąc żyć, musiał socjalizm prowadzić walkę zbrojną z zaborczem państwem. Z aparatem państwa w początkach XX wieku! Z armją 200.000 żołnierzy, z administracją, policją, żandarmerją uzbrojoną we wszystkie nowoczesne sposoby „rządzenia”, czyli uciskania ujarzmionej ludności.

Odcinek tej walki maluje barwnie leżąca przedemną książeczka, napisana przez „żołnierza rewolucji”, dosłownie żołnierza, a nie żadnego wodza. Dzięki takim żołnierzom, fanatycznie oddanym sprawie wyzwolenia Polski i ludu polskiego z niewoli, stała się P. P. S. „niepokonaną potęgą”, jak mówił prokurator rosyjski Żyżyn...

Ale jacyż to dziwni byli „żołnierze"! Nie chciał ich kraj „uspokojony” po 1863 roku, bał się ich i przeklinał; nie mieli odznak żołnierskich, broń musieli kryć przed okiem szpiegów carskich i prowokatorów, a czekała ich nie śmierć na polu bitwy, lecz skatowanie przez zbirów carskich, lub — sąd wojenny i szubienica... W najlepszym razie straszna rosyjska katorga.

Jawna prasa polska rzucała na ich groby ciężkie kamienie oszczerstwa i obelgi, a tylko w podziemiach rewolucji otaczano ich nazwiska — pseudonimy skromnym wieńcem chwały.

A przecież była to jedyna siła w narodzie, która z potęgą niepokonanego żywiołu dążyła do Niepodległej Ojczyzny! Dążyła do niej z całą świadomością, że bez zjednoczenia i wyzwolenia Polski nie ma co marzyć o nowoczesnem życiu, o rozwoju, o sile klasy robotniczej polskiej, rozbitej w zaborach na trzy odłamy, z konieczności słabe i niezdolne do wypełnienia historycznej misji proletariatu.

Ciężkie losy polskiego „żołnierza rewolucji” rzuciły go w piekło rosyjskiej katorgi. Europejczyku, który przypadkiem będziesz czytał stronicę tej książeczki, poświęcone opisowi tego piekła, odwróć od nich swoje oblicze! Nie wytrzymasz opisu tej męki, którą przeżywali nasi towarzysze!... A jeżeli zdobędziesz się na siłę nerwów i wnिकniesz w to ohydne mordowanie wolnej myśli polskiej przez zezwierzęconych katów carskich, pochyl nisko głowę przed ludźmi — męczennikami i przed ideą, która temu piekłu bój śmiertelny wydała! I zwyciężyła!

Była to idea polska i socjalistyczna.

Wyszła z walki Polski rewolucyjnej przeciw caratowi o niepodległość narodu, narodziła się w łonie uciemiężonej podwójnie polskiej klasy robotniczej, szeregującej się pod sztandarem międzynarodowego Socjalizmu.

Pod koniec walki wytrzymała najcięższą próbę: nie uległa w odmętach rewolucji rosyjskiej, oparła się jej i zmusiła ludzi do powrotu w granice Ojczyzny, aby wcielać się tutaj w nowoczesną walkę klasową prowadzoną w ustroju republikańsko-demokratycznym, odrzucając moskiewskie hasła dyktatury nad milionami niewolników.

Książka tw. Kwapińskiego tchnie bezpośredniością i entuzjazmem. Znać w niej głębokie poczucie honoru walczącego bojowca, gotowego na śmierć w imię partji bojowej proletariatu

polskiego, znać w niej ten honor garści szlachetnych, mogącej zwyciężyć chwilowo, ale świadomej, że śmiercią nawet nie zdobędzie w krótkim czasie całkowitego wyzwolenia, honor człowieka ofiarującego bez frazesu swoje życie za czystą ideę, którą — bez wojny światowej — może wnukom dopiero udałoby się urzeczywistnić i żywą zobaczyć, znać tę siłę moralną, tę ciężyznę, bez której nie byłoby P. P. S.

Dziś, po odwaleniu kamienia grobowego, powinna polska młodzież robotnicza rozczytywać się pilnie w owych wspomnieniach, pełnych męki i nieśmiertelnej chwały, bo dziś dopiero urzeczywistnić się mogą słowa poety

...i będą nasze więzienia ciemne

miejscem odpustu Ludzkości...

Odpustu z największego grzechu i małoduszności.

Ignacy Daszyński

SPROSTOWANIE:

*W wierszu 16 od góry na str. 93 zamiast: Świętochowski, winno być:
Świątkowski.*

I

Wybuch wojny rosyjsko - japońskiej i mobilizacja roczników w Kongresówce spowodowały w środowiskach robotniczych ożywienie ruchu rewolucyjnego.

Pracowałem wówczas w zakładach ostrowieckich, w dużym skupieniu proletarjackim.

Zainteresowanie wypadkami wojennymi, a w szczególności oporem przy mobilizacji było ogromne.

Władze policyjno - administracyjne nie umiały przeciwdziałać agitacji Polskiej Partii Socjalistycznej.

Stoją dziś jeszcze przed oczyma duszy, jak żywe, obrazy zająć na stacjach kolejowych, na odcinku Skarżysko - Ostrowiec. Pociągi, naładowane zmobilizowanymi żołnierzami, rozbrzmiewają pieśni rewolucyjne, a z okien wagonów towarowych wyjeżdżający żołnierze wywieszają czerwone sztandary.

Wśród szłochu niewiast grzmi bojowa pieśń proletariatu: „**Nadejdzie jednak dzień zapłaty, sędziami wówczas będziemy my**”.

Carat na Dalekim Wschodzie został pogruchotany. Echo przebranej wojny, jak płomień, rozchodzi się po obszarach Rosji i krajów, podbitych przez carat.

Wybuch powstania w Moskwie spotęgował nastrój rewolucyjny i w naszej okolicy.

Ówczesny C. K. R. w słynnej odezwie wzywa proletariat polski do solidarności z powstaniem moskiewskim. Okręgi partyjne prawie wszystkie na wezwanie C. K. R. nie zareagowały.

Jedynie **Okrąg Radomski** wezwał podległe organizacje do rozpoczęcia powstania.

Pamiętam, jakie na mnie i na towarzyszach zrobiło wrażenie wezwanie do powstania, byliśmy wówczas bardzo młodzi. Nie rozpatrywaliśmy z politycznego stanowiska apelu C. K. R. i Okręgu Radomskiego.

Na kółkowych konspiracyjnych zebraniach nauczyliśmy się nienawidzić całą duszą ucisku caratu, to też zapowiedź walki orężnej wpłynęła na nas, jak tok elektryczny. Rozpoczęliśmy gorączkowe przygotowania do rewolucji. Na czele organizacji ostrowieckiej stał wówczas młody, pełen energii i temperamentu inżynier Berner (Emil).

Postanowiono opanować powiat przez zdemolowanie urządzeń rządowych, oraz wybór „polskich” wójtów po gminach.

Według przygotowanego planu, w noc listopadową wyruszyliśmy oddziałami w sile od 20 — 40 ludzi na „wojnę” z Rosją carską!

Rodziny nasze nie przeszkadzały nam w naszych zamiarach.

Ruszyliśmy, według opracowanej marszruty, na powiat. Na czele oddziałów stali zorganizowani bojowcy.

Oddział, w którym byłem, ruszył szosą w stronę Bodzechowa i Ćmielowa.

W niespełną godzinę po wyjściu z Ostrowca doszliśmy do Bodzechowa, odległego o 4 kilometry. Tutaj cały szereg towarzyszy po raz pierwszy miał możliwość uczestniczenia „w powstaniu” przeciwko caratowi.

W Bodzechowie przyszlismy do urzędu gminnego, zniszczyliśmy wszystkie portrety carów i ich rodzin, wyznaczaliśmy wójta „polskiego”, który godność przyjął z pewnem wahaniem...

Następnie udaliśmy się do sklepu monopolowego, zniszczyliśmy cały zapas wódki i spirytusu, rozbiliśmy policjantów, a odebraną broń oddaliśmy nowozwerbowanym rewolucjonistom z Bodzechowa.

W ten sposób przeszliśmy przez całą noc ogromny szmat drogi, wróciliśmy dopiero na drugi dzień rano. Znużenia nie czuliśmy zupełnie podczas akcji, dopiero po powrocie do domu dało się we znaki ogromne przemęczenie. Ubrania nasze przeziąknięte były alkoholem z powodu rozbicia tej nocy kilkunastu sklepów z wódką.

W czasie naszej akcji inny oddział, na przestrzeni około 6 kilometrów, psuł urządzenia telegraficzne, łamiąc słupy przydrożne.

W Ostrowcu na czoło ruchu wysunęła się P. P. S., która od 1900 roku prowadziła intensywną robotę organizacyjną pod kierunkiem tow. Wincentego Markowskiego.

Narodowa Demokracja, jakkolwiek w Ostrowcu bardzo słaba, próbowała jednak organizować wiece „narodowo myślących rodaków”, wysyłała petycje z tych wieców do cara, prosząc „Najjaśniejszego Pana” o nadanie Polsce autonomji. Esdeków wówczas w Ostrowcu nie mieliśmy.

Z dnia na dzień jednak impet ruchu rewolucyjnego tracił na sile. Carat złamał powstanie moskiewskie.

Zdezorientowany Rząd odzyskał szybko równowagę po stłumieniu powstania moskiewskiego.

Niebawem otrzymaliśmy z Radomia wiadomość, że na nasz powiat, a w szczególności na Ostrowiec i Ćmielów władze wojskowe wysyłają z Warszawy aż 3 pułki na „usmirenienie”.

W niespełna tydzień na okolicę naszą nasłano pułki „gwardyjskie”.

W Skarżysku, Wierzbniku, po wkroczeniu gwardji, ogłoszono stan oblężenia, a wślad za tem rozpoczęły się masowe areszty. Najbardziej zjadłe, z ogromnem okrucieństwem uprawiane orgje bicia aresztowanych działy się w Ostrowcu. Łapano często Bogu ducha winnych ludzi, kuto w kajdany, bito w straszliwy sposób, rzucano skutych na przygotowane wozy, odwożąc do powiatowego więzienia, odległego od Ostrowca o 18 kilometrów. Cały nasz „sztab” czas jakiś krył się w murach fabrycznych. Pomimo ogromnej masy żołdactwa, jakim siepacze carscy rozporządzali, nie odważyli się narazie wkroczyć do fabryki, w poszukiwaniu nas.

Sytuacja nasza była coraz groźniejsza, zmuszeni byliśmy w nocy wydostawać się przez parkany fabryki, by znienacka napaść na tych policjantów, którzy wślawili się okrucieństwami przy masowych aresztach.

Władze wojskowe, dowiedziawszy się o naszym przebywaniu w murach fabrycznych, groziły zbombardowaniem fabryki. Nie było innego wyjścia, trzeba było opuścić ukrycie i uciekać do lasów.

W grudniu 1905 roku ulokowaliśmy się w lasach księcia Druckiego - Lubeckiego. w mieszkaniu gajowego za Ćmielowem. Było nas w tem miejscu 8 czy 10 — dokładnie nie pamiętam. Niestety, długo nie mogliśmy przebywać w nowej kryjówce. Dano nam znać ze Ćmielowa, że sąsiedni nasz oddział, ukryty w lasach, napadł nocą na oddział kawalerji między Ćmielowem a Bodzechowem, wskutek czego ma być masowa oblawa w lesie. Tego samego dnia pod wieczór przybiegł zdyszany gospodarz kryjówki, u którego gościliśmy, z oznajmieniem, że widział znaczny oddział kawalerji, zacząjony w dołach w okolicach Ćmielowa. Nie pozostało nic innego, jak tej samej nocy przedzierać się przez lasy w stronę Zawichosta, by przedostać się na terytorjum Małopolski.

Pocziwy gospodarz nasz wysłał swoich synów na czaty, a nam kazał jeść; nie chciał w żaden sposób wypuścić nas głodnych. Mroź-

ny wiatr dokuczał nam bardzo, ale nikt o tem nie myślał, szliśmy raż-
no, prowadzeni przez towarzysza, który znał okolicę.

Nad ranem oczom naszym ukazała się srebrna wstęga Wisły. Cały dzień spędziliśmy w chacie przemytnika, który wieczorem z innymi współnikami przeprowadził nas po krach łodu „za granicę“, na terytorjum, gdzie władza carów nie sięgała.

Podczas przejścia granicy stał żołnierz rosyjski, obok niego przywódca przemytników; obydwa rachowali ilość uciekinierów, za każdego uciekiniera żołnierz otrzymywał pół rubla srebrem.

Po przeliczeniu wszystkich, jeden z przemytników poprowadził nas do karczny austriackiej.

Nazajutrz po południu wyjechaliśmy do Krakowa. Po przyjeździe do Krakowa, przyzwyczajeni do konspiracji, w hotelu podaliśmy inne nazwiska, niż na komorze celnej austriackiej, przez którą musieliśmy przechodzić. W rezultacie mieliśmy dość dużo przykrości ze strony tajnej policji austriackiej.

Dzięki interwencji tow. **I. Daszyńskiego**, pozostawiono nas w spokoju.

Po trzech tygodniach przybył tow. „Emil“, który mnie zapoznał z ówczesnym „Ziukiem“, a po rozmowie z Piłsudskim, wstąpiłem do szkoły bojowej. Ale o tem innym razem.

Po 8-ym Kongresie Partji, który odbywał się we Lwowie, przystąpiono do tworzenia kadr organizacji bojowej przez wyszkolenie odpowiedniej ilości instruktorów. Szkolenie to rozpoczęło się od 1-szej szkoły w Krakowie i Lwowie, na której był cały wydział organizacji bojowej P. P. S., z tow. „Ziukiem“ (Piłsudskim) na czele.

Wstąpiłem na kursa do 3-ej szkoły. Uczestników było 18. Wychowanków instruktorskiej szkoły, tych pepesowych oficerów rewolucyjnej polskiej armji, rozmieszczono w trzech mieszkaniach, na ulicy Lubicz i Arjańskiej w Krakowie. Po rozlokowaniu przystąpiono do wykładów, poprzedzonych konferencją wstępną, na której „Ziuk“ w ogólnych zarysach zobrazował położenie polityczne kraju i cel naszego szkolenia.

Profesorami naszymi byli: tow. „Barnaba“ (Rożen), tow. „Paweł“ (Dąbkowski) i inni.

Większość wykładów teoretycznych odbywała się przy pomocy manuskryptów. „Barnaba“ poświęcał nam najwięcej czasu i wykladał na tematy: 1) armja rosyjska pod względem uzbrojenia i umundurowania, 2) musztra, 3) ćwiczenia z bronią krótką i długą, 4) znajomość systemów broni i ich psucia, 5) niszczenie telefonów,

telegrafów i środków komunikacji, 6) ćwiczenia w rzucaniu pocisków ręcznych i t. p.

„Paweł” wykladał nam z dziedziny wszelakich materiałów wybuchowych. Poza tem ogromną uwagę zwracano na znajomość topografii. Wykładano nam również anatomję.

Ogólnie biorąc, wykłady nasze i ich program dostosowane były do stosunkowo krótkiego czasu, jaki mieliśmy do dyspozycji, oraz do charakteru przyszłej naszej działalności bojowej. Inicjatorzy kursów bojowych wychodzili z teoretycznej przesłanki o tak zwanym „ubojo-wieniu klasy robotniczej” — wówczas mówiono o klasie robotniczej, jako awangardzie polskiej rewolucji. W kilka lat później stworzono inną teorię, ale o tem później.

Okres ten był dla mnie przełomowym, gdyż z terenu lokalnego wychodziłem, ja i inni towarzysze, na szeroki gościniec działalności rewolucyjnej z przygotowaniem teoretyczno - praktycznem.

Przeważająca większość wykładów, łącznie z nauką strzelania, odbywała się w Krakowie. Ćwiczenia w rzucaniu ręcznych pocisków, oraz musztry o charakterze zbiorowym, odbywały się za rogatkami Lwowa.

O tow. „Barnabie” jeszcze dziś, choć stoi on zdala od pracy socjalistycznej, wspominam najchętniej, jako o człowieku bardzo dobrym i sympatycznym. Lubiliśmy wszyscy tow. „Barnabę”, jako naszego wykładowcę, był zawsze skromny i bardzo wyrozumiały.

Wychowankowie 3-ciej szkoły byli to w przeważnej większości młodzi robotnicy, nic też dziwnego, że nieraz trudno było sobie poradzić ze sprawami o charakterze czysto teoretycznym. Jeżeli mam mówić o sobie, jako o uczniu, to powiem, że nie lubiłem „wykuwać” na pamięć z rękopisów różnych „kwestyj”. Natomiast z zamiłowaniem oddawałem się mustrze i ćwiczeniom bronią krótką i długą.

Nie chcę przez to powiedzieć, żebyśmy wogóle innych „kwestyj” nie znali, boby nas ścięto na egzaminach. Bardzo obszernie zastanawialiśmy się nad armją rosyjską, z którą w przyszłości mieliśmy się zetknąć. To też dokładnie musieliśmy wiedzieć, jak jest umundurowana armja rosyjska we wszystkich rodzajach broni. Szczególnie musieliśmy dobrze znać tak zwane szarże oficerskie, albowiem przez odróżnienie szarży oficerskiej mogliśmy łącno ustalić liczebność kwaterującego wojska w danej miejscowości.

Bez tych znajomości nie podobna było wszczynać żadnej akcji bojowej.

Nauka musztry była stosunkowo dla wszystkich najłatwiejsza. Ćwiczenia odbywały się szóstkami, na czele stał starszy, trzy szóstki

stanowiły oddział z oddziałowym na czele. Ćwiczenia z bronią, w sensie gruntownej znajomości składowych części karabinu, mauzera i browninga, oraz nauki strzelania szły nam raźnie. Trudniej było z rękopisów studjować kulomioty i wszelkiego typu armaty. Tu główny nacisk kładziono na psucie tej broni w razie zaskoczenia zmienacka przeciwnika, oraz odebrania jej od wroga. Ćwiczenia w rzucaniu granatów ręcznych były bardzo pomysłowe i przystosowane do warunków walki ulicznej, czy to z większą ilości policji, czy też wojska.

Nauczono nas robić zasadzki na kawalerję w sposób istic szatński. Oto przykład: na krańcach miasta ulokowana jest kawalerja. Gdzieś, w środku miasta, odbywa się jakaś akcja bojowej organizacji. Alarm, kawalerja co koń skoczy biegnie w kierunku miejsca akcji, po drodze inny oddział bojowej organizacji zawczasu rozrzucił po ulicy specjalnie przygotowane gwoździe, ostrzem do góry. Konie wpadają na nie kopytami, kaleczą się, stają dęba i cały pościg chybja.

W innym wypadku oprócz gwoździ, jeżeli to jest miejscowość słabo oświetlona, przerzuca się drut w taki sposób, aby jeźdźcy, galopem jadący, zawisali na przeciągniętych przez ulicę drutach.

W niszczeniu telefonów i telegrafów doszliśmy do mistrzostwa. Gorzej dawaliśmy sobie radę ze studjami topograficznymi. Znajomość anatomji była bezwarunkowo konieczna i znaliśmy ją stosunkowo dobrze, to też nieraz z łatwością udzielaliśmy rannym pierwszej pomocy.

Na wykłady społeczno - polityczne nie było czasu. Jak wiadomo na 8-ym Kongresie zarysowały się bardzo poważne różnice pomiędzy tak zwanymi starymi P. P. S-owcami a młodymi. Cała zatem akcja Wydziału Bojowego ześrodkowana była na kwestjach walki bezpośredniej z najazdem carskim. To też w bojowej organizacji przeważali ludzie, stojący bardzo mocno na stanowisku programu niepodległościowego. W chwilach wolnych od zajęć zajmowaliśmy się kwestjami ogólnie - politycznymi i społecznymi.

Mogliśmy z łatwością otrzymywać potrzebne książki, bywać na zgromadzeniach, na których przemawiali tow. tow. I. Daszyński, Z. Marek i inni. Wiezorami bywaliśmy na „czarnej” w tak zwanej „secesji”. Tam też spotykała się emigracja z Królestwa. Stałym bywalcem „secesji” był obecny generał Sosnkowski, który skończył przede mną szkołę i czekał — jak się to mówi teraz — na przydział.

Wykłady nasze po paru tygodniach miały się ku końcowi. Z za

kordonu otrzymywaliśmy wiadomości o wzrastającym znów ruchu rewolucyjnym.

Ostatnim etapem w naszych studjach był wyjazd do Lwowa na ćwiczenia z pociskami ręcznymi i zbiorową musztrę. Po tygodniu wróciliśmy zpowrotem do Krakowa, przygotowując się do egzaminów.

Na egzaminach byli obecni „Ziuk“, „Barnaba“ i „Maksym“ (Czarkoski).

Przyznaję, że miałem trochę tremy, gdy stanąłem przed egzaminatorami. Zależało nam na tem, żeby jechać do kraju na „robotę“, bo Kraków działał demoralizująco na tych, którzy nie mieli jakiegoś określonego w ciągu dnia zajęcia. Po egzaminach odbyła się pożegnalna wieczerza w obecności już nieżyjącego Mańkowskiego, Rożena, Piłsudskiego, Arciszewskiego, który przed paru dniami dostał się z więzienia pruskiego.

Pod koniec wieczerzy „Ziuk“ wygłosił płomienną mowę do nas, w barwnem świetle odmalował przed nami niewolę polityczną i społeczną klasy pracującej, wzywając do walki o wyzwolenie kraju i klasy robotniczej. Przemawiali inni w tym samym duchu, nastrój był podniosły.

W parę dni po skończonym kursie musieliśmy zwolnić mieszkania dla grupy przybyłych z za kordonu towarzyszy. Przed samym wyjazdem do kraju sfotografowałem się, żeby rodzinie przesłać swoją podobiznę, po otrzymaniu fotografii wykupiłem też dla ostrożności kliszę.

Miałem wówczas lat 20. Zaopatrzywszy się w fałszywy paszport, wyruszyłem na „robotę“, w pierwszych dniach marca 1906 roku do Warszawy, uzbrojony wiarą w słuszność sprawy, dla której byłem gotów oddać życie. Pociągiem przez Trzebinę i Szczakową przybyłem na granicę. Pociąg stanął. Po chwili zjawiają się żandarmi rosyjscy, obchodzą wagony i żądają paszportów.

Przebywanie na komorze wydało mi się wiecznością, wreszcie otrzymuję zpowrotem „przepustkę“, przechodzę do rosyjskiego pociągu, wchodzę do ustępu, wydaję z bućka rosyjski paszport, wkładam do koperty „przepustkę“ i rzucam do skrzynki pocztowej, by za parę dni ktoś inny mógł z nią przejechać kordon.

II

Przez noc całą jechałem z „granicy“ przez Dęblin do Warszawy. Warszawa — miasto moich chłopięcych marzeń; tu, w stolicy Polski wodzowie rewolucji kuja broń przeciwko caratowi, myślałem.

Tutaj przyjeżdżają wszyscy instruktorzy po rozkazy organizacyjno-bojowe, z Warszawy rozchodzą się nici wielkiego spisku P. P. S. przeciwko gwałtowi najeźdźców i ugodzie klas posiadających.

W murach tego miasta tysiące serc ludzkich bije w takt „Warszawianki”, stąd i ja wyjadę na posterunek rewolucyjny, by, w myśl regulaminu bojowej organizacji, walczyć z panoszącą się krzywdą...

Z bijącym sercem wszedłem do mieszkania konspiracyjnego zwanego „biurem”. Jakie było moje zdziwienie, gdy wyszedł na moje spotkanie kochany tow. „Ludwik” Mańkowski.

— Dzień dobry towarzyszu „Stanisławie” — przywitał mnie tow. „Ludwik”, był to mój pseudonim w szkole bojowej.

— Jak się cieszę, że was spotykam pierwszego, na gruncie obcym wśród wielkiego miasta.

— Właśnie śpieszyłem z Krakowa do Warszawy, by wszystkich was z 3-ciej szkoły przyjąć i dać wam wskazówki, jak macie postępować, by uchronić się od natrętnych szpiegów... — Jacy wy jesteście kochani — odparłem. — Dobrze! dobrze, siadajcie, a pilnie słuchajcie, co wam powiem.

Tu tow. „Ludwik” zaczął przyciszonym głosem dawać mi instrukcje.

A gdy skończył, spojrzał mi w oczy i długo, długo patrzył na mnie, jak gdyby chciał czytać myśli moje.

— Pojedźcie do Łodzi, — prawie szeptem wyrzekł. — Będziecie w proletariackim mieście, tam, gdzie istnieje nędza mas z jednej strony, a przepychy zubożonych kapitalistów z drugiej.

A oto adres: piszcie...

Wyjąłem notatnik i skrętnie zanotowałem sobie wskazany adres.

Noc spędziłem w Warszawie; leżąc w łóżku rozmyślałem o tem co mnie czeka w mojej pracy. Długo nie mogłem rozmyślać nad przyszłością, albowiem otoczona była mgłą tajemniczości...

Myślałem za to o przeszłości, — oto mieszkanie, gdzie wychowałem się, a oto dobra, kochana Matka, która opowiadała nam — dzieciom, o powstaniu, a później, praca we fabryce, zebrania konspiracyjne; na których wykladał tow. Emil (Bornier) albo Laskowski.

A gdy wyczerpał się temat rozmyślań — znów wróciłem do „Ludwika”. Wszak był skazany na ciężkie roboty, długie lata siedział w katordze za Bajkałem, a jaki jeszcze młody duchowo, ile ma zapału, jak mówi o zadaniach i obowiązkach rewolucjonistów.

Tow. Mańkowski był ubóstwiany przez wszystkich bojowców. Rano wyjechałem z dworca Kaliskiego w stronę Łodzi.

Otrzymałem zlecenie, by do samej Łodzi nie przyjeżdżać, tylko wysiąść w Zgierzu, a ze Zgierza pojechać tramwajem do Łodzi.

Ostrożność zachowano dlatego, iż na dworcu w Łodzi często rewidowano przyjeżdżających, zdarzały się również wypadki aresztów.

Do miasta wjeżdżałem przez Bałuty w południe. Ogromna masa kobiet i mężczyzn wychodziła z fabryk na obiad.

Przyglądałem się tym spracowanym ludziom, ile w tych twarzach było boleści, jaki bezmiar smutku!...

Widok ten zrobił na mnie przygnębiające wrażenie.

Wprawdzie sam byłem robotnikiem, ale robotnicy w fabrykach metalowych wówczas znacznie więcej zarabiali, a więc i stopa życiowa ich była wyższa.

Pomiędzy pierwszą a drugą zgłosiłem się do „biura“, gdzie zapoznałem się z tymczasowym kierownikiem okręgu, obecnie pułkownikiem wojsk polskich. Tow. „Andrzej“ dał mi adres „biura“ na jutro, i polecił szukać sobie mieszkania.

Po obiedzie znalazłem na ul. Andrzeja Nr. 15 bardzo ładny pokój umeblowany z balkonem, z którego prawie nigdy nie korzystałem ze względów konspiracyjnych.

Nowa moja gospodyni była Niemką, oprócz mnie mieszkał u niej jakiś p. Sokołów, weterynarz.

Po wprowadzeniu się, gospodyni zażądała ode mnie dowodu osobistego dla zameldowania w policji, dowód wręczyłem, zameldowany już fikcyjnie w Warszawie.

Wieczorem wyszedłem na miasto; było to przed świętami Wielkiej Nocy. Chłopcy strzelali z kalichlorikum po ulicach ku oburzeniu policjantów.

Noc spędziłem dobrze, a na drugi dzień udałem się do „biura“ dla otrzymania dzielnicy.

Przydzielono mi dwie dzielnice—Zgierz i Dąbrówkę (Chojny).

W „biurze“ dowiedziałem się, że tak zwana „lewica“ robi różne wstręty naszym ludziom, nie dopuszczając nas do zorganizowanych robotników, z pośród których mieliśmy werbować członków do bojowej organizacji.

Pomimo oporu z ich strony, ponad głowami ich, dostaliśmy się do robotników.

Był to okres, kiedy nowy C. K. R., wybrany na VIII Kongresie, nie wiedział, co ma począć z nami.

Po pewnym czasie ustaliło się możliwe współzycie wydziału agitacyjnego z wydziałem bojowym.

Szczególnie po przyjeździe tow. Montwiła, któremu udało się przekonać przywódców Komitetu Łódzkiego, że na solidarnej współpracy zyska partja i klasa robotnicza.

Pierwszy mój występ w Zgierzu.

Wieczorem o godzinie 7 przybyłem na wykład do pierwszej szóstki, którą pomogła mi zorganizować tow. „Hilda” (dziś p. Falska).

Stałem przed znacznie starszymi robotnikami; z pewną treścią pierwszy wykład zacząłem temi słowy: — Towarzysze! z polecenia wydziału bojowego pragnę was zorganizować i wyszkolić na żołnierzy P. P. S. Jesteście gotowi do poświęceń?

Chwila milczenia. — Proszę o głos towarzyszu, — zagadnął z brzegu siedzący robociaż.

— Dziękujemy wam za słowa gorące i oświadczamy, że dawno pragniemy od słów przejść do czynów — wszyscy jak jeden, chcemy być w bojowej organizacji.

Uradowany, jak dziecko, uściśnałem im dłonie.

Po wstępie, zapoznałem ich z najważniejszą rzeczą, — z regulaminem bojowej organizacji, który był bardzo surowy.

Punkt po punkcie objaśniałem, a gdy skończyłem, znów oświadczyłem, że mają czas, mogą się wycofać jeszcze. — Nie, towarzyszu „Kacper”, raz powiedzieliśmy — to święte.

Po gruntownym zapoznaniu z regulaminem, następny wykład poświęciłem ćwiczeniom z bronią krótką.

Następnego dnia odbyło się drugie zebranie w dzielnicy „Dąbrówka”.

W palmową niedzielę udałem się z pierwszą szóstką do lasu Łągiewnickiego na strzelanie i musztrę.

Wyszliśmy o godz. 4 rano, by do godziny 9-tej, kiedy jeszcze las nikogo nie gościł, zakończyć naukę strzelania.

Bojowcy, z rozpromienionymi twarzami i skupieni w sobie, bacznie śledzili moje ruchy, by sprostać zadaniu.

Pierwsza lekcja w polu wypadła niezłe.

Wróciliśmy do Zgierza około 10½ przed południem, o 11-tej wyjechałem tramwajem do Łodzi.

Na drugi dzień otrzymałem wiadomość w „biurze”, że jeden z bojowców został zabity przez nieuwagę, przy czyszczeniu broni.

Wypadek ten wpłynął na mnie przygnębiająco.

Organizacja miejscowa sprawiła uroczysty pogrzeb młodemu bojowcowi.

Tego rodzaju wypadków z początku, po wprowadzeniu w użycie browningów, było bardzo dużo.

Zbliżały się święta, pierwsze święta zdala od bliskich, w obcym mieście. Do moich znajomych bojowców nie chciałem iść, nie chcąc ich krępować swoją obecnością.

Całe dwa dni poświęciłem na zwiedzanie miasta, gospodyni moja była bardzo ciekawa, czym się zajmuję — unikałem z nią rozmowy na ten temat.

Po świętach zorganizowałem jeszcze dwie szóstki, życie organizacyjne absorbowowało mnie zupełnie. Poza wykładami fachowymi miałem z własnej inicjatywy wykłady o historii, o socjalizmie i t. p. Lubilem swoich bojowców bardzo, oni zaś odpłacali mi wzajemnością. Każdą niedzielę do południa spędzałem na ćwiczeniach w polu. Po południu czytałem i wypoczywałem.

W toku rozwoju organizacji bojowej i jej wyszkolenia narastał wewnętrzny kryzys na tle taktyki.

Centralny Wydział Bojowy wydał nam, instruktorom, ścisłe polecenie, by cały nasz wysiłek skierować na ubojowanie klasy robotniczej w sensie przygotowania technicznego.

Zakazano nam używać organizacji bojowej do jednostkowego teroru. Szeregowi, a później i instruktorzy, rozpoczęli szemrać przeciwko bezczynności Wydziału Bojowego.

W partji w pierwszej połowie tego roku były dwie bojowe organizacje, jedna, będąca pod bezpośrednim kierownictwem Okręgowych Komitetów, druga pod wyłącznem kierownictwem Wydziału Bojowego.

Zadaniem przez nas tworzonych kadr bojowej organizacji, było przygotowanie do zbrojnego powstania. Bojówka, będąca pod wpływami komitetów miejscowych, miała na celu stosowanie teroru o charakterze lokalnym.

Wydział agitacyjny partji nie miał żadnego dostępu do naszych szeregów. Partja rozrastała się liczebnie, a ze wzrostem partji sypały się na nią represje. Zachodziła potrzeba przeciwdziałania represjom władz administracyjno - policyjnych. Bojówka lokalna nie mogła sprostać zadaniom. Wówczas zaczęliśmy, pod naciskiem zorganizowanych przez nas bojowców, „próbne” manewry naszych żołnierzy przeciwko carskim siepaczom.

Działalność nasza była do pewnego stopnia „nielegalną” wobec Wydz. Bojowego. Niektórzy z nas, na żądanie Komitetów miejscowych, zaczęli osłaniać działalność agitacyjną przez usuwanie szkodliwych policjantów, szpicli fabrycznych i t. p.

Stan taki nie mógł być tolerowany przez centralne władze bojowej organizacji.

W łódzkiej organizacji powstał „spisek” przeciwko „nieróbstwu” Wydziału Bojowego.

Wobec łamania karność, Wydział Bojowy rozpoczął represje organizacyjne. My, ze swej strony, domagaliśmy się zwołania ogólnokrajowej konferencji organizacji bojowej. Wydział Bojowy, po zorjentowaniu się w sytuacji, uległ naszemu żądaniu. Została zwołana latem 1906 roku do Krakowa Konferencja Bojowej Organizacji. Konferencja zakończyła się przyjęciem postulatów opozycji.

Od zmiany tej, organizacja bojowa, organizując kadry rewolucyjnych żołnierzy, osłaniała równocześnie działalność propagandystyczną partii. Stworzono jedną bojową organizację. Nawiązano bliiski kontakt z działalnością agitacyjną partii przez łącznika z bojówki, który wchodził w skład Okręgowego Komitetu.

Po wewnętrznym kryzysie organizacja bojowa nabrała ogromnego rozmachu. Każdy gwałt policji, każda zdrada prowokatorów karane były śmiercią. Na biurokrację carską padła straszliwa panika.

Pomiędzy Wydziałem Bojowym a instruktorami zapanowała harmonia. Na krakowskiej konferencji odnowiono osobowy skład Wydziału. Przyjęta została propozycja tow. Montwiłła, iż nie może być członkiem Wydziału człowiek, który nie brał udziału w czynnej akcji, wyjątek zrobiono dla Piłsudskiego. Nastąpił podział pracy na linje, sztab, intendenturę, wywiad i kasę.

W drugiej połowie 1906 r. rozwój organizacji partyjnej doszedł do potęgi.

Skałon robił olbrzymie wysiłki, by okrucieństwem zastraszyć walczący proletariąt.

Okres ten pod-prokurator warszawskiej Izby Sądowej, Żyżyn, w swojej książce p. t. „Ruch rewolucyjny w Polsce”, między innymi tak charakteryzuje:

„Zamachy na urzędników carskich dokonywane były jeden za drugim, napady na instytucje rządowe były coraz zuchwalsze, nadpodziw obmyślane i konsekwentnie przygotowane. Bomby bez przerwy wybuchały na przestrzeni całego kraju.

Polska Partja Socjalistyczna, — powiada tenże Żyżyn — była „w prywilejskom kraje” niepokonaną potęgą!”

Istotnie, cały 1906 rok był nieprzerwanem pasmem z precyzją obmyślanych aktów rewolucyjnych ze strony Bojowej Organizacji.

Nie mogę obszerniej zastanawiać się nad tym okresem w moich wspomnieniach, które dotyczą określonego terenu, w każdym

razie z naciskiem zaznaczam, iż to, co później grupowało się w strzelcach i legjonach, wyrosło z tego okresu. Partja stworzyła tyśiące bezimiennych bohaterów, rekrutując ich z pośród robotników, i częściowo inteligencji. W niepodległej Polsce są ludzie, którzy ten wielki zmat tryskającego życia rewolucyjnego, pragnęliby sprowadzić do znaczenia jednej osoby.

Pomysł fałszowania historii może powstać w głowach ludzi bądź ograniczonych, bądź też zaślepionych.

Zbiorowość rewolucyjna P. P. S. była tą dynamiczną siłą, z której wyszło na arenę życia polskiego wszystko to, co dziś nazywa się 1-szą brygadą. Jeżeli chodzi o osobę obecnego Marszałka Piłsudskiego, to on w tym okresie nie przyjmował czynnego udziału w żadnej akcji bojowej. Najczynniejsi byli Montwiłł, Arciszewski, Mańkowski, częściowo Sławek i inni. O ile pamięć mnie nie myli, Piłsudski brał jedynie udział w „Bezdanach” w roku 1908.

Po uporządkowaniu wewnętrznem bojowej organizacji tow. Montwiłł dał nam — instruktorom — dyrektywy następujące:

Po zorganizowaniu nowej jednostki bojowej, należy zwrócić uwagę na regulamin, później na gruntowną znajomość krótkiej broni.

Następnie, zaraz po pierwszym ćwiczeniu w strzelaniu w polu, szóstka musi być obowiązkowo na robocie. Jeżeli okaże się, że wywiązała się dobrze, to prowadzić szkolenie w dalszym ciągu, w razie przeciwnym, należy szóstkę tę rozwiązać. Metoda ta była bardzo korzystna w praktyce.

Skafon i jego szpicle wykombinowali nową metodę walki z masowym ruchem rewolucyjnym. Metoda ta polegała na masowych aresztach i biciu w straszny sposób aresztowanych. Partja nie mogła obojętnie patrzeć na katowanie swoich członków przez policję.

Wydział Bojowy organizacji obmyślił plan kontr-akcji, o charakterze masowym. Postanowiono jednego dnia, w miarę możliwości o jednej godzinie, dokonać masakry policji i żandarmów i t. p. dygnitarzy carskich.

Dniem tym był 15 sierpnia 1906 roku; dzień ten znany jest w kronice rewolucyjnej P. P. S. pod nazwą „Krwawej środy”.

Oprócz masowej akcji terrorystycznej postanowiono zburzyć kilka cyrkulów policyjnych przez rzucenie bomb.

W Łodzi rzucone były bomby do III cyrkul, wybuch bomb spowodował zniszczenie wewnętrzne, w cyrkule prócz tego było 7 rannych żołnierzy i 3-ch policjantów. Na ulicy zabito trzech kozaków i trzech policjantów. Poza tem trzech policjantów raniono.

W Łodzi „krwawą środę” zaczęło o godz. 6 wiecz., godzina ta była spóźniona, bo w Warszawie i innych miastach zaczęło z rana. Władze policyjne w obawie przed masakrą policji na posterunkach, o godzinie 12-ej w południe wycofały policję, zastępując ją wojskiem. Organizacja bojowa z braku policji i żandarmów napadała na kozaków.

Strzelanina trwała około 3-ch godzin. Panika wśród władz była ogromna. Oddział, który dokonał napadu na cyrkuł, liczył 22 ludzi.

Napad był precyzyjnie opracowany; zbiórka była w parku „Tivoli”, stamtąd cały ten oddział szedł w taki sposób, żeby punktualnie o 6-ej być na miejscu. W momencie podejścia do cyrkułu z ulicy Wulczańskiej na spotkanie bojowców wyszedł przypadkowo patrol kozacki.

Z chwilą ukazania się patrolu oczy wszystkich bojowców zwrócone były w stronę dowódcy oddziału, tow. „Henryka”. Sękowski *) obrzucił okiem swój oddział, dał znak „baczość”, wyjął trąbkę z kieszeni, dając sygnał do ataku. W okamgnieniu, według zgóry opracowanego planu, bojowcy rzucili się do cyrkułu, rozległy się sygnały i po chwili wybuch 3-ch bomb. W czasie, kiedy 18 tow. przypuszczało szturm do cyrkułu, tow. Henryk z 4 bojowcami rzucili się na kozaków. Jeden kozak został śmiertelnie ranny, reszta uciekła.

Na drugi dzień zdwojono patrole wojskowe, ani policjantów ani też żandarmów w ciągu tygodnia nie można było zobaczyć na ulicach.

Po krwawej środzie obóz endecki do spółki z Narodowym Związkiem Robotniczym (dzisiaj N. P. R.) i Socjalną Demokracją Królestwa Polskiego i Litwy licytowali się w napaściach na P. P. S.

Rząd carski, na wniosek Stołypina, wprowadził sądy wojenno-polowe. Pomimo zmienionych warunków, robotnicy - bojowcy nie drgnęli. Przeciwnie. Po tym ukazie Stołypinowskim, jeszcze z większą siłą karząca ręka bojowej organizacji czyniła spustoszenia w szeregach policyjno - szpiclowsko - żandarmskich.

W trzy dni po krwawej środzie przygotowano zamach na Skaloną, sprawcę i inicjatora masowych aresztowań i bicia.

Zamach ten, chociaż nieudany, odbił się jednak głośnem echem po całym kraju.

*) Nazwisko to nie ma nic wspólnego ze znanym prowokatorem San-kowskim, który został zabity w Warszawie.

Zaraz po „krwawej środzie” otrzymałem zlecenie od tow. Montwiłła, by zająć się przygotowaniem zamachu na Możalewskiego, naczelnika więzienia łódzkiego, przy ul. Długiej.

Pan ten katował politycznych w bezlitosny sposób, pisano o nim dużo, niestety, w niepoległej Polsce podobno chodzi na wolności. Pan ten nie wychodził na ulicę, a jeżeli niekiedy mu się to zdarzało, to w otoczeniu znacznej ilości żołnierzy. Wprawdzie ta okoliczność mi nie przeszkadzała, ale zwykle łotrzyk ten chodził w południe, kiedy najwięcej ludzi kręciło się po ulicy Konstytucyjnej, trudno było dla jednego łotra poświęcić przypadkowych przechodniów.

Nie wyliczam tu dużej ilości różnych szpicli, którzy, zostali straceni przez bojową organizację w Łodzi.

Łódzka organizacja bojowa, pod kierownictwem tow. Montwiłła dokonała słynnego napadu na pociąg pocztowy pod Rogowem. O akcji tej pisałem swojego czasu w specjalnie wydanej książeczce.

Po napadzie na pociąg pod Rogowem, Centralny Komitet Robotniczy zawiesił Centralny Wydział Bojowej Organizacji.

Prawie cała bojówka zsolidaryzowała się z Wydziałem, próby Centralnego Komitetu skaptowania sobie niektórych z nas spełzły na niczem.

Partja stanęła w obliczu rozłamu.

Na skutek domagania się całej bojowej organizacji, C. K. R. przyspieszył zwołanie IX zjazdu, który odbył się w Wiedniu.

Przed IX zjazdem odbył się II zjazd instruktorów bojowej organizacji w Krakowie.

Cały zjazd stanął w obronie taktyki Wydziału Bojowego. Wybrano 3-ch delegatów na zjazd, z Piłsudskim na czele. Delegację tę, przygotowaną przez tak zw. „lewicę”, zjazd odrzucił. Delegacja bojowej organizacji wyszła ze zjazdu, a z nią część towarzyszy, pracujących w agitacji. Rozłam był faktem dokonany.

W czasie IX zjazdu zostałem w Łodzi, by w międzyczasie przygotować wszystko do opanowania składów broni i majątku partyjnego. Po otrzymaniu wiadomości o rozłamie, wszystko było w naszym posiadaniu. Matadorzy umiarkowanej frakcji po powrocie do Łodzi nic już nie zastali.

Wyszedł 200 numer „Robotnika” w nowej redakcji, na jakiś czas trzeba było broń schować do ukrycia i zająć się agitacją.

W dwa tygodnie po rozłamie odbyła się konferencja łódzkiej organizacji. Ze strony bojowej organizacji było nas 7 instruktorów i tow. tow. Filipowicz, Jędrzejowski i Turowicz.

Tak zw. „lewica” zgrupowała około 86 funkcjonariuszów z Feliksem Kohnem na czele.

Na konferencji „lewica” miała ogromną większość, poza konferencją znaczna w mieście większość robotników stanęła po naszej stronie. Wystarczy nadmienić, że na 18 tysięcy płacących składki w Łodzi, zgórą 11 tysięcy stanęło po naszej stronie.

Po wymienieniu naszych wpływów, część instruktorów wróciła zpowrotem do bojowej działalności, część zaś, z tow. Jaworowskim, do agitacji.

W grudniu otrzymałem polecenie przygotowania zamachu na oberpolicmajstra Chrzanowskiego, który oddawna był przez partję skazany na śmierć.

Po zrobieniu wywiadu przygotowałem zasadzkę na niego w dniu 6 grudnia, w dzień imienin cara Mikołaja.

Chrzanowski jechał do cerkwi ulicami Przejazd i Mikołajewską. Na rogu Mikołajewskiej (obecnie Sienkiewicza) i Krótkiej (obecnie Traugutta) czekaliśmy na niego. Ulice zasypane były śniegiem. Gdy sani podjechały do nas w otoczeniu kawalerji, dałem sygnał trąbką, posypały się salwy z mauzerów do żołnierzy, jednocześnie dwie bomby padły w stronę sani.

Jedna bomba upadła na kolana i stoczyła się w śnieg, nie eksplodując, druga, trochę spóźniona, trafiła w tył sani — straszny wybuch. Zostali ranni Chrzanowski, jeden żołnierz, stangret i agent policji. Niebawem policmajster Chrzanowski zupełnie usunął się z policji, jako kaleka.

Nikt z nas nie został aresztowany.

Był to ostatni mój występ w Łodzi. Nie podałem różnych drobniejszych epizodów, gdyż możebym dotknął tem niektórych towarzyszy, którzy nie mieli szczęścia, jako kierownicy bojowej organizacji.

W końcu grudnia zostałem przeniesiony do Częstochowy. Dłużej przebywać w Łodzi nie mogłem, gdyż byłem już rozkonspirowany.

Około 23 grudnia przyjechałem do Częstochowy po 9-miesięcznej nielegalnej pracy w Łodzi.

Przez cały ten czas byłem tylko dwa razy rewidowany, raz przez patrol wojskowy, a drugi raz przez bojówkę Narodowego Związku Robotniczego, w czasie bratobójczych walk.

Po przyjeździe do Częstochowy zastałem tam tow. tow. „Ludwika” — Mańkowskiego i „Pawła” — obecnie generała Dąbkowskiego.

Był to czas poważnych „wsyp” i znacznych prowokacyj.

Wydział Bojowy Organizacji, z powodu grasowania w Warszawie dwóch prowokatorów, **Dyrca** i **Sankowskiego**, zmuszony był choć na jakiś czas rozjechać się z Warszawy do różnych miast Polski.

Z wyjątkiem „Ziuka” — Piłsudskiego, który stale przebywał „za granicą” (Kraków), reszta członków Wydziału Bojowego przebywała przeważnie w Warszawie.

Prowokatorzy Dyrca i Sankowski znali dużo konspiracyjnych mieszkań, to też robili oni poważne spustoszenia w szeregach bojowej organizacji na terenie Warszawy, a częściowo i na prowincji.

Jak powiedziałem powyżej, dwóch członków wydziału bojowego t. t. „Ludwik” i „Paweł” znajdowali się w Częstochowie.

Wieczorem w towarzystwie tow. Ludwika — Mańkowskiego udałem się do Rakowa, tam bowiem była nasza partyjna twierdza. Wprawdzie przed dwoma tygodniami twierdzę tę władze policyjno-żandarmskie przy asyście dwóch pułków wojska trzymały w oblężeniu 24 godzin, szukając broni i amunicji. Rewizja przeprowadzona dała moskiewskim stupajkom pewien sukces — znaleźli lokalną drukarnię partyjną i pewną ilość amunicji.

Cały zapas ładunków został utopiony w kanałach i nie dostał się do rąk moskiewskich.

Jadąc do Rakowa, po drodze spotkałem dwóch moich znajomych z Ostrowca, nieżyjącego już Michała Urbańskiego i Karola Dobora.

Zadowolony byłem, że nie poznali mnie, wprawdzie niebawem dowiedziałem się, że obydwa są bliskimi naszymi sympatykami.

Przyjechaliśmy do mieszkania tow. Barona, członka Okręgowego Komitetu Częstochowskiego.

Tow. Ludwik, po zapoznaniu mnie z miejscowymi towarzyszami, wrócił zpowrotem do Częstochowy, mnie zaś zostawił na noc w Rakowie.

Po pobieżnem zorientowaniu się w sytuacji miejscowej, zdecydowałem na drugi dzień zebrać poszczególnych ludzi, celem skompletowania przynajmniej jednej szóstki.

Na noc zatrzymałem się u wymienionych powyżej znajomych z Ostrowca, u nich narazie zamieszkałem aż do wyjazdu z Częstochowy tow. „Ludwika” i „Pawła”. Po paru dniach zorientowałem się dokładnie w stanie organizacji, i nawiązałem organizacyjne znajomości z szeregiem towarzyszy i towarzyszek.

Po odbytem zebraniu udało mi się stworzyć jedną szóstkę z ludem chodzących bojowców, którzy byli w organizacji bojowej, ale z różnych powodów szóstki ich rozpadły się.

Na czele pierwszej szóstki stanął tow. „Kmicic” — Wcisło Wiktor, obecnie komisarz Kasy Chorych w Tomaszowie Mazowieckim, w szóstce tej był również obecny generał Janusz Głuchowski, wówczas bardzo młody człowiek. Rodzina państwa Głuchowskich niemal cała oddawała partii bardzo duże usługi.

Oczywista, po zorganizowaniu pierwszej szóstki, trzeba było zająć się usunięciem przeszkód policyjno - szpiclowskich dla wydziału agitacyjnego.

To też w ciągu krótkiego czasu dokonano zamachów na 5 policjantów, jednego żandarma i jednego szpicla. Po pewnym uporządkowaniu organizacji bojowej w Częstochowie, udałem się do Zawiercia, gdzie zastałem jedną istniejącą szóstkę i kilku bojowców luzem chodzących. W stosunkowo krótkim czasie miałem na terenie Zawiercia dwie szóstki.

Do Okręgu Częstochowskiego wchodzi również Radomsk i Piotrków. W tych dwóch miastach nie udało mi się zbudować organizacji bojowej, natomiast w Kamińsku pod Radomskiem zorganizowałem jedną szóstkę.

Czyli, na terenie okręgu, miałem 2 szóstki w Częstochowie, 2 w Zawierciu, i jedną w Kamińsku.

Do drugiej szóstki „należał” również prowokator Sukiennik, słynny w 1908 roku. Po zorganizowaniu linii, trzeba było pomyśleć o stronie technicznej bojowej organizacji. To też po zapoznaniu się z tow. Kobierzycką Marją, udało mi się wciągnąć przy jej pomocy do przewożenia breń i bomb tow. Marję Gliksonównę, obecnie tow. Mańkiewiczową. Z każdym dniem zdobywałem sobie nowe mieszkania na biura i nowych znajomych...

Na terenie Częstochowy mieszkał wówczas tow. Dr. Michałowicz, którego mieszkanie było rozkspirowane. To też unikałem go, jak również mieszkania tow. „Rysia” — Domańskiego.

Cały wolny czas spędzałem u ciotki tow. Gliksonówny, p. Hantowerowej. Mieszkanie to było przeze mnie bardzo skrzętnie ochrańniane przed towarzyszami z agitacji.

Na czele roboty agitacyjnej stali tow. tow. Uziembło i Jaworowski. W czasie tym trwały jeszcze po okręgach konferencje rozłamowe.

W końcu marca spotyka mnie tow. Jaworowski w biurze i komunikuje, że dziś wieczór ma konferencję partyjną w Radomsku, bardzo usilnie zapraszał mnie na nią, tłumacząc, iż ze strony „lewicy” będzie cały tuzin funkcjonariuszy.

Wytłumaczyłem mu, że nie mogę rozkonspirowywać się w robocie agitacyjnej i odmówiłem wyjazdu z nim.

Na drugi dzień otrzymałem informacje, że całą konferencję aresztowano wraz z szeregiem funkcjonariuszy partyjnych. Między innymi aresztowano tow. Jaworowskiego, Uziembłę i Filipiaka, z tym ostatnim pracowałem w Ostrowcu. Aresztowanie kierowników agitacyjnych było dotkliwym ciosem dla partii.

Po paru jednak dniach z pewnym wysiłkiem lukę, spowodowaną aresztowaniami, zapełniono.

Wspomniałem o Sukienniku, który w dwa lata po moim aresztowaniu był bardzo niebezpiecznym prowokatorem. Człowiek ten był dłuższy czas przemytnikiem naszej bibuły a nawet i broni, którą z Górnego Śląska przewożono do „kraju”.

Trzymałem go bardzo daleko od konspiracyjnych mieszkań. Dziwnie nie miałem do niego zaufania. Później dziwiło mnie bardzo, że człowieka tego posłano do szkoły instruktorskiej do Krakowa i dopuszczono do poufnych spraw. Zostałem go w organizacji, przeto tolerowałem. Sukiennik bał się mnie, jak ognia, widział, jak własnoręcznie usuwałem za różne przewinienia tych, którzy ośmielili się brukać sztandar Partji. Widziałem go raz jeden na „robocie” a było to tak. W dwa tygodnie po moim zainstalowaniu się w Częstochowie, tow. Marja Paszkowska przywiozła mi zlecenie z wydziału, żeby wydostać 1000 rubli. Naprędce zrobiłem wywiad w okolicy i postanowiłem udać się z bojowcami za Olsztyn do rządowej leśniczówki, był tam duży targ drzewem rządowym.

Wziąłem z sobą tow. tow.: Wcisłę, Głuchowskiego, Góralczyka i Sukiennika. Ten ostatni najął furmankę w Częstochowie. Rozstawiliśmy się na drodze do Olsztyna w odległości pół kilometrowej, wsiadaliśmy na wóz, jako zdążający do domów na święta robotnicy z Częstochowy. Furman nie podejrzewał wcale, kogo wiezie. Zabawne było, jak każdy z nas prosił furmana, żeby za wynagrodzeniem zabrał nas z sobą; furman miał ochotę, ale każdorazowo pytał się tego, co wynajął, czy pozwoli, ten z pewnem wahaniem pozwalał.

Nie dojeżdżając do Olsztyna, kolejno schodziliśmy z fury, podążając w umówione miejsce za ruinami zamku.

Stamtąd udaliśmy się piechotą do leśniczówki, odległej od Olsztyna o 2—3 kilometry, dokładnie nie pamiętam.

W czasie akcji jakiś gajowy wymknął się do lasu, nie robiliśmy z tego powodu żadnego użytku z broni, licząc na to, że nie zdąży zrobić alarmu.

Po skończonej akcji, gdyśmy szli przez wieś, nagle na skrócie ulicy z za jakiegoś domu 5 dubeltówek, wymierzonych w nas i okrzyk: „Ręce do góry!”

Sukiennik, który szedł na przodzie, jako że znał drogę, skoczył jak oparzony wtył. Ja w oka mgnieniu zarepetowałem mauzera, krzykiem zmuszając Sukiennika do zatrzymania się. Sukiennik, blady jak trup, osłupiały wzrokiem spoznał na mnie. Jednocześnie wydałem komendę: strzelać w górę! Chodziło mi o to, żeby gajowych nie zabijać. Efekt był wspaniały—gajowi „nogi za pas i w las”, a my, wystrzelawszy jeszcze po kilka razy, poszliśmy swoją drogą.

Takim był Sukiennik, ale jak widział, że inni stoją i strzelają, był zwierzęco okrutny w czasie akcji, o czym przekonałem się w parę dni później w innym miejscu.

III

„Prowokatorzy **Dyrcz i Sankowski** zostali zgładzeni”. Tak brzmiała wiadomość z Warszawy, przywieziona przez Marię Paszkowską.

Członkowie Wydziału Bojowego „**Ludwik**” i „**Paweł**” opuszczają „gościnne” progi Częstochowy, udając się do Warszawy. Na wyjazd ten czekałem, gdyż miałem przyobiecany pokój po „**Pawle**” — **Dąbkowskim**.

W dwa dni po ich wyjeździe natknąłem się na oddział kawalerji, zdążający z pułkownikiem żandarmów **Potockim** na czele z Częstochowy do Rakowa na rewizję...

Wracałem około godziny 10 i pół wiecz. z wykładów z Rakowa w towarzystwie tow. **Rysia-Domańskiego** do domu.

Jechaliśmy fabrycznemi końmi, które otrzymaliśmy przez tow. **Głuchowskiego** (ojca); noc była przecudna, choć mroźna.

Konie rosły szły szybko w stronę miasta, aż tu, nie dojeżdżając do Częstochowianki, woźnica nasz gwałtownie zatrzymał konie i z trwogą w głosie rzucił w naszą stronę: „**dragoni!**...”

Nie zdążyliśmy ochłonąć z pierwszego wrażenia, gdy usłyszeliśmy głos: „**Stój, kto jedzie!**?”

W mgnieniu oka sanie nasze otoczyli żandarmi, świecąc nam w twarz elektrycznemi latarkami.

Towarzysz **Ryś** gwałtownie coś w kieszeni niszczy.... Podjechał do nas w towarzystwie starszego żandarma podpułkownik **Potocki**; z miną uprzejmą zapytuje „**Kak wasza familja**”. „**Jak się panowie nazywacie**”. — Tow. **Ryś** pierwszy odpowiada swoje nazwisko „**Domański**”; starszy żandarm przygląda się **Rysiowi**, poczem u-

przejmnie wita go „Dobry wieczór „gospodin“ Domański”; Ryś uśmiechnięty odpowiada. Z kolei groźne oblicza żandarmów skierowują się w moją stronę. „A pan jak się nazywa?”; podałem nazwisko, które otrzymałem wraz z fałszywym paszportem—„Kwiatkowski”. „Skąd pan jest?” — „z Łodzi” — brzmiała odpowiedź.

„Co! z Łodzi? a my tu „swoich“ mamy pełno!—Proszę o paszport!” — „Nie mam paszportu, gdyż w dniu dzisiejszym dałem paszport swój do zameldowania w policji”.

„Gdzie pan mieszka?” — groźnie pyta Potocki.

Na groźny ton żandarma odpowiadam tonem obrażonego obywatela, któremu zakłócają spokój i swobodę ruchów!...

Ostry mój ton zdetonował p. Potockiego. Zaczął się usprawiedliwiać, że czasy są niespokojne, że ja sam jestem winien, bo nie mam paszportu przy sobie, i t. p.

Widząc chwiejność żandarma, zacząłem protestować z powodu osobistej rewizji. Nastąpiła krótka pauza — poczem żandarm wydaje zlecenie, żeby Rysia puścić do domu, a mnie zabierają żandarmi do swoich sani zpowrotem do Rakowa.

Wojsko i policja otoczyła domy administracji fabrycznej, rozpoczynając rewizję, zaczynając od naczelnika, Dyrektora Sużyciego, kończąc zaś na zwykłych urzędnikach.

Mnie ulokowano w poczekalni głównego biura, dając mi do asysty 6 dragonów.

Rewizja trwała do godziny 4 rano, nie dała wszakże żadnego rezultatu.

Po skończonej rewizji w domach administracji fabrycznej podpułkownik Potocki w otoczeniu żandarmów wszedł do poczekalni, gdzie mnie zatrzymano. Oblicze carskiego wygi było posepne i złe z powodu doznanego zawodu.

Jak tylko go zobaczyłem, zacząłem kląć na bezprawie i t. p.

Żandarm, nie wiedząc co ma robić ze mną, po pewnym namyśle odwołał jednego z żandarmów, wydając mu jakieś polecenie.

Żandarm podszedł do mnie z oznajmieniem, że pojedziemy do miasta, by sprawdzić w cyrkule, czy istotnie dałem swój paszport do zameldowania. Po drodze żandarmi rozpowiadali mi o badaniach w czasie rewizji w domu państwa Głuchowskich.

Badania te tyczyły mojej osoby. Towarzysz Głuchowski (ojciec) zeznał, iż mnie zna bardzo mało, gdyż od paru dni jestem we fabryce asystentem przy martynowskich piecach. To samo zeznali dyrektorzy.

Dla zalegalizowania się, każdy z nas starał się o jakieś fikcyjne zajęcie, by upozorować legalne przebywanie w mieście w sensie zameldowania dowodu osobistego w policji.

Po przyjeździe do miasta, zamiast do cyrkułu, żandarmi zawieźli mnie do mojego mieszkania, celem dokonania w nim rewizji.

Prosiłem ich, żeby odłożyli rewizję do rana, tłumacząc, iż przykro mi budzić moich nowych gospodarzy, u których przed dwoma dniami wynająłem pokój.

Istotnie, zależało mi na tem, by uchodzić za człowieka „legalnego”, a tu akurat od rewizji zaczynam swój pobyt w nowym mieszkaniu!...

Argumenty moje nie zdołały przekonać żandarmów, obudzili dozorcę domu, który z przerażeniem patrzył na to, co się dzieje.

Jeden z żandarmów zapytał dozorcę, czy mnie zna. Dozorca bez wahania odpowiada: „A już ci znam, to nasz nowy „lekatur”, który mieszka na II-giem piętrze”.

Bramę kazano zamknąć dozorcę, poczem całą gromada udała się do mojego mieszkania — pokój miałem z osobnem wejściem prosto ze schodów; dzięki temu nie robiono u moich gospodarzy rewizji, tylko u mnie.

Otworzyłem pokój — żandarmi przeprowadzili bardzo szczegółową rewizję; oczywiście, nic nie znaleźli.

Bardzo ich interesowało, dlaczego mam tak dużo różnych kapeluszy i czapek. Wyjaśniłem im, że lubię się „ubierać”, przeto mam pewien zapas.

W istocie, czapki i kapelusze były potrzebne przy zamachach terrorystycznych. Po skończonej rewizji, zabrali mnie do cyrkułu, widać, iż mieli przeczucie, że jestem „ptaszek”, jak się jeden wyraził. W cyrkule okazało się, że paszport mój jest.

Trzymają mnie całą godzinę — widzę, że grzecznością nic nie wskóram, zacząłem tedy awanturować się. Gdy wrócił z Rakowa podpułkownik **Potocki**, żandarm porozumiał się ze swoją władzą i stamtąd otrzymał zlecenie wypuszczenia mnie na wolność.

Jak się później dowiedziałem, trzymano mnie dlatego, gdyż przypuszczano, że rewizja w domach robotniczych da im coś, coby mnie „skompromitowało”.

Przyznaję, że byłem trochę zaniepokojony, czy czasem starszy szóstki nie wpadnie z browningami, które u niego pozostały po ćwiczeniach.

Podpułkownik **Potocki** stanowczo nie miał szczęścia. Zmarnował noc i nic nie znalazł!

Na drugi dzień rano cała organizacja w Rakowie zaalarmowana została mojem aresztowaniem.

Radość była wielka, gdy po południu przyjechałem do Rakowa cały.

Uhawiliśmy się co niemiara z głupoty carskich żandarmów. Po tej rewizji dwaj żandarmi, którzy asystowali mi przez całą noc, przy spotkaniu na ulicy, kłaniali mi się bardzo grzecznie.

Czułem, że pod tą uprzejmością kryje się ordynarne szpiclowanie moich ruchów w Częstochowie.

Po tygodniu przyszedłem do wniosku, że Częstochowa jest zbyt mała, żeby można było swobodnie chodzić na różne zebrania, kiedy jest się śledzonym.

Uznałem stan ten za niemożliwy i w porozumieniu z okręgowcem z Zagłębia, tow. **Zenonem - Klempińskim**, wydałem polecenie bojowcom, by panów żandarmów usunąć.

Rozkaz mój był w parę dni wykonany przez szóstkę towarzysza **Kmicica** — Wcisło W zamachu tym brał udział również i **Sukiennik**, który pastwił się nad żandarmami w sposób ohydny. Nie przeszkodziło mu to później stać się prowokatorem.

Pracowałem dalej.

Jakkolwiek należałem, jako bojowiec, do tak zwanej linji, to jednak stale szukałem czegoś, co daje wiedzę i pełną świadomość tego, że cała nasza praca rewolucyjna musi opierać się na klasie robotniczej, która była i będzie „bazą operacyjną” przyszłego powstania przeciwko caratowi.

Widziałem, jak w miarę zmniejszania się ruchu rewolucyjnego rzedły szeregi, tak zwanych sympatyków, udzielających swoich mieszkań na partyjne zebrania.

Jedynie proletariąt stał niewzruszony, przy swojej partji. W drugiej połowie kwietnia otrzymałem zlecenie z Wydziału, by dostarczyć znaczną liczbę blankietów paszportowych, albowiem po wyspach **Dyrcza** i **Sankowskiego**, trzeba było zmienić wszystkie adresy meldunkowe.

W dniu 22 marca wydałem dyspozycję towarzyszom Częstochowskim, gdzie mają iść, by zdobyć potrzebne blankiety. Sam zaś rano miałem wyjechać do Zawiercia, by z najmłodszą szóstką iść na robotę.

Zamówiłem sobie tow. **Głuchowskiego** (syna — dziś generała), by przywiózł mi naboje do mauzera i browningów, gdyż pierwszym pociągiem miałem wyjechać z Częstochowy do Zawiercia.

Do dnia dzisiejszego nie wiem, z jakich powodów tow. **Głuchowski** nie stawiał się na umówiony czas i miejsce.

Okoliczność ta zaważyła bardzo poważnie na przebiegu akcji, w skutek braku nabojeów zostałem aresztowany w dniu 23 kwietnia 1907 roku.

IV

Pragnąc zadośćuczynić instrukcji Wydziału Bojowego, zmuszony byłem rozplanować akcję pomiędzy istniejące szóstki — tak, by jak najwięcej zdobyć książeczek paszportowych. Rankiem, dnia 23 kwietnia 1907 roku z niecierpliwością oczekiwałem „Janusza” — **Głuchowskiego**; w miarę przybliżania się godziny odjazdu z Częstochowy do Zawiercia na „robotę”, coraz bardziej denerwowałem się jego nieobecnością, boć miał on przywieźć odpowiednią ilość nabojeów do mauzera i browningów.

Raz po raz rzucałem okiem na zegarek, mierząc krokami tam i zpowrotem pokój. Dzień był pogodny — słońce wdzierało się do każdego zakątka mojego mieszkania.

Pozostało 15 minut; czekam jeszcze chwil kilka — napróżno! Raz jeszcze rzuciłem okiem po wszystkich kątach pokoju, czy czasem „coś” nie pozostało.

Nie mogę się doczekać „Janusza”. Wybiegłem pospiesznie z mieszkania na dworzec kolejowy, będący naprzeciwko domu. Kupiłem bilet i wsiadłem do wagonu. Po wejściu do wagonu otworzyłem okno w tem przekonaniu, że może „Janusz” nadejdzie — niestety! Dzyń, dzyń, dzyń, ruszamy.

Zaledwie ruszył pociąg, zacząłem rozmyślać o mającej się odbyć akcji, wprawdzie nie mam odpowiedniej ilości nabojeów, ale niepodobna — myślałem — odkładać „roboty”, bojowcy gotowi pomyśleć, że stchórzyłem. Pomimo wszystko muszę „robotę” zrobić, tyle razy udawało się, dlaczego akurat dziś, kiedy nie mamy odpowiedniej ilości nabojeów, ma być inaczej!...

Zawiercie! Wysiadam, udaję się na umówione miejsce, gdzie mieli mnie oczekiwać bojowcy. Po kilku minutach byłem już w otoczeniu bojowców. Po przywitaniu się, obejrzałem wszystkie browningi, czy aby są w porządku, a gdy skonstatowałem, że tak jest, rozdzieliłem po 15 nabojeów na każdą „maszynę”, poczem dwój-

kami wyszliśmy z mieszkania, idąc w kierunku Wodowic, miejscowości, gdzie mieliśmy zacząć akcję.

Na polach zeszedliśmy się znów razem i tak szliśmy aż do samych Wodowic. Przed Wodowicami wystąpił dwóch bojowców bez broni na wywiad. Po pół godzinie pojawili się z wiadomościami „sytuacyjnymi”.

Z wiadomości tych wynikało, że w miasteczku było 4 policjantów i straż ogniowa.

W samym miasteczku policjanci przeszli koło nas, nie pytając o paszporty.

W pierwszej chwili myślałem, żeby ich zastrzelić, ale po namyśle zrezygnowałem z tego zamiaru.

Przeszliśmy jakiś plac, udając się do gminy. Do lokalu weszliśmy około godz. 9-ej. Wójt próbował oponować, ale pod wymownym żądaniem 5 browningów, skierowanych w jego stronę, otworzył kasę, z której wyjęliśmy 80 sztuk książeczek paszportowych i pieczęć wójta. Przy otwieraniu kasy wezwaliśmy jeszcze dwóch świadków, by byli obecni, że pieniędzy, które są własnością gminy, nie bierzemy.

W czasie, gdy pisałem niebieskim ołówkiem pokwitowanie w imieniu bojowej organizacji P. P. S., bojowcy zajęli się gorliwie niszczeniem portretów carskich.

Po zakończeniu akcji w gminie, udaliśmy się za jednym zachodem do sklepu monopolu wódczanego, gdzie zabraliśmy zawartość kasy i poniszczyliśmy portrety i pewną ilość wódki, poczem zaczęliśmy pospieszny odwrót w stronę Zawiercia.

Zaledwie zdążyliśmy przejść około 300 metrów, gdy usłyszeliśmy alarm w całym miasteczku. Co żyło ruszyło za nami.

Z dzwonnicy kościelnej rozległ się dzwon na trwogę. Pościgiem kierowali policjanci i jakiś miejscowy sklepikarz-żyd, który wziął nas za zwykłych bandytów, jak zresztą i wszyscy mieszkańcy.

Towarzysze moi zaczynają coraz szybciej biec. Widząc taką sytuację, pod groźbą rozstrzelania uciekających, wstrzymałem chaotyczny odwrót, zmuszając wszystkich iść razem.

W miarę oddalania się naszego, coraz zuchwalsi byli nasi przeciwnicy, szczególnie policjanci.

Widowisko było dość oryginalne: z jednej strony nas siedmiu, z drugiej strony tłum ludzi z policjantami na czele, tłum ten z każdą minutą wzrastał w miarę przeciągania się pościgu, przybywali chłopcy pracujący na polu.

Szliśmy we względnym porządku jakieś dwa do 4 kilometrów. Od czasu do czasu dawaliśmy salwy na postrach. Ponieważ nabojęw mieliśmy mało, przeto coraz rzadziej strzelaliśmy. To rozzuchwalało naszych przeciwników, którzy konno z orczykami w rękach zaczęli nas okrażać.

Widząc taką sytuację, zażądałem dwóch magazynów z nabojami od dwóch bojowców, wydając wszystkim polecenie, by całą szóstką zdążali do pobliskiego lasu. Zarządzenie to wydałem dlatego, że 4 chłopów co koń wyskoczy pędziło do Zawiercia, by zryły nam przeciąć odwrót przez postawienie na nogi policji i kozaków w Zawierciu. Bojąc się, by nie złapali nas wszystkich, szczególnie chodziło mi o dwóch młodych robociarzy, którzy przy biciu mogliby wyspać, wołałem sam zasłonić ich odwrót, byle żaden z nich nie wpadł w ręce policji.

Mogłem coprawda z punktu, bez żadnych skrupułów, strzelać w tłum, ale nie mogło mi przez gardło przejść polecenie strzelania do głupich i obalamuconych ludzi.

Mając już większą ilość nabojęw, zacząłem częściej strzelać, oczywiście, strzelałem w powietrze. Strzelając, doszedłem do jakiegoś pagórka. Płaszcz rzuciłem w jedną stronę, kapelusz w drugą, zacząłem szybko strzelać, tłum i policjanci narazie nieorjentowali się, że to ja jeden jestem.

Obejrzałem się poza siebie, moi bojowcy już byli daleko. Na jedną sekundę odetchnąłem.

Coraz mniej było nabojęw, strzelałem coraz rzadziej. Stan ten rozzuchwalał coraz bardziej tłum, który zaczął nacierać na mnie coraz pewniej.

Podniosłem się, poczem szybko zacząłem zdążać ku lasowi. Sylwetki moich towarzyszy ledwie dostrzegalne były już pod samym lasem.

Dopóki miałem naboje, było wszystko w porządku, ale nabojęw tych coraz mniej było w mojem posiadaniu. W pewnym momencie wyjąłem magazyn: zobaczyłem, że pozostały jeszcze 3 naboje. Postanowiłem żywcem nie oddać się. Ostatnia kula dla mnie, trafić chciał, że dwie ostatnie kule miały jakiś defekt, bo kapiszony wystrzeliły, ale naboje nie eksplodowały. Po wystrzeleniu ostatniego naboju, stanąłem pod jakimś drzewem, trzymając w ręku browning, szykując się do obrony. Gdy tłum stanął o parę kroków przede mną. Próbowałem do niego przemówić.

Niestety! Policjanci zbliżają się do mnie, nagle z boku ktoś uderzył mnie w bok jakimś grubym kijem, syknąłem z bólu — pa-

trzę — a to ów sklepikarz. W oka mgnieniu podskoczyłem do niego, wymierzając mu lufą browninga uderzenie pomiędzy oczy. Krew zalała mu twarz. Zanim zdążyłem odwrócić się, byłem już schwytany. Posypały się razy ze wszystkich stron. Chwil kilka broniłem się resztkami sił — napróżno. — Zostałem aresztowany.

Po paru minutach nadjechał patrol kozacki, który doprowadził mnie do urzędu gminnego, gdzie spisano pierwszy protokół. W czasie odwrótu zniszczyłem paszport w obawie, żeby policja nie znalazła mojego mieszkania. Bałem się żeby policja nie trafiła na ślad „Pawła” — Dąbkowskiego, po którym wynająłem pokój, a u którego bywałem i gdzie widziała mnie służba.

Na zapytanie starszego strażnika policyjnego, jak się nazywam, podałem się za Jana Kwapińskiego z Włocławka. I od momentu aresztowania nazywam się Jan Kwapiński.

Po spisaniu pierwsiastkowego protokołu, zostałem przewieziony przez kozaków na wynajętej furze z Wodowic do Zawiercia. Kozacy bili mnie przez całą drogę w straszny sposób. I gdy przywieziono mnie do Zawiercia, odległego o 5 kilometrów, byłem kompletnie nieprzytomny.

Pastwili się nade mną kozacy za to, że inna moja szóstka w **Poremby**, w tym samym czasie, zabiła kozaka i konia.

Ponieważ przyznałem się, że ja kierowałem tą akcją, przeto kozacy czynili mnie odpowiedzialnym za to i za tamto. O godz. 6-tej wieczorem przywieziono mnie do miejscowego więzienia, skatowanego w okropny sposób i ulokowano w jakiejś piekielnie brudnej celi na 1-szem piętrze. Dali mi jakiś brudny siennik z miljonami robactwa zamiast pośłania.

V

W dwie godziny po zamknięciu mnie w celi więziennej, zjawił się patrol kozacki, ze starszym policjantem na czele, dla przeprowadzenia mnie na badanie śledcze do miejscowego naczelnika straży ziemskiej. Byłem tak pobity, że o własnych siłach nie mogłem ustać. Dwóch kozaków podniosło mnie i przemocą wyprowadziło z więzienia na badanie; było już późno w nocy, po drodze bito mnie kolbami, w samym budynku naczelnika policji, przy wejściu na 1-sze piętro stojący na warcie kozak uderzył mnie tak silnie kolbą w twarz, że potoczyłem się ze schodów i runąłem jak długi na podłogę.

Na mój krzyk wybiegł naczelnik policji i zgromił kozaków za to, że mnie bili.

Twarz miałem zalaną krwią, odnosiłem wrażenie, że wybili mi lewe oko.

Po wejściu do kancelarii, naczelnik policji polecił kozakom i strażnikowi, wyjść z pokoju.

Pozostałem z nim sam na sam.

Rozpoczął badania od ustalenia mojej tożsamości, podałem tak samo jak w Wodowicach, że nazywam się **Kwapiński**, że jestem z Włocławka.

Pan naczelnik ironicznie zapytał, czy nazwisko, które podałem jest prawdziwe czy też partyjne?

W odpowiedzi odparłem, że nazwisko które podałem jest moje własne, a nie partyjne.

Po zapisaniu moich generalij rozpoczął inwigilacje bardzo szczegółowe o stanie organizacji i t. p.

Na wszystkie pytania miałem, dwie odpowiedzi, zależnie od okoliczności — **nie wiem, albo nie powiem!**

A kiedy policjant wręcz zaproponował „sypać”, wówczas restrykcyjnie się, zaprotestowałem energicznie przeciwko metodzie badania i wyniosłem zapytałem go, czy on, jako oficer, zgodziłby się wydać tajemnice swojej armji — w odpowiedzi usłyszałem — nigdy!

„To jakim prawem śmie pan żądać ode mnie tego, czegoś pan sam nie zrobił — jesteś pan oficerem armji rosyjskiej, ja zaś oficerem polskiej rewolucyjnej armji”.

Naczelnik stropił się, zaczął przeproszać mnie, tłumacząc się, że chce tylko uchronić mnie od niechybnej śmierci, albowiem obowiązują wszak sądy wojenno - polowe. Szczere przyznanie się i wskazanie innych, złagodzi karę.

„Oświadczam, że **akcją kierowałem, że jestem instruktorem bojowej organizacji, ale nic ponadto nie powiem!** — rozumie pan czy nie”!

Policjant w zakłopotaniu wybełkotał: „Naturalnie rozumiem, wszystko rozumiem”..

Po spisaniu protokołu śledczego, odprowadzono mnie zpowrotem do więzienia. Jaką rozmowę miał naczelnik z kozakami i ze strażnikami—nie wiem, w każdym razie przez całą powrotną drogę nie bili mnie już.

Po przyjeździe do celi siadłem na narach kompletnie złamany z wycierpania. Nie byłem w stanie zastanowić się nad tem, co mnie spotkało, czułem okropny ból w całym ciele. Jak długo w takiej pozycji siedziałem, nie pamiętam.

Położyć się nie mogłem, bo mnie wszystko bolało, noc wydała mi się wiecznością. W parę miesięcy potem rozumiałem tych, którzy, po katowaniu w aresztach policyjnych, sypali. Trzeba było mieć bardzo dużo siły i woli, by wytrwać. Piszę wszak o tych przeżyciach po 20 latach, a jednak, jakie to wszystko jest świeże w mojej pamięci:

Kiedy przypominam sobie okoliczności, w jakich byłem aresztowany—stoją przede mną jak żywe, dzikie twarze kozaków, ich nieznadziejna tępota, z jaką wykonywali swoje czynności. Rankiem następnego dnia zjawił się felczer, obmył mi rany i zrobił opatrunek twarzy. Dowiedziałem się od niego, że pod lewem okiem mam rozciętą twarz, ale oko nie jest uszkodzone. Po wyjściu felczera podano mi kubek herbaty i kawałek chleba ze szmalcem. Na zapytanie, skąd podano, klucznik oznajmił mi, że podano mi z sąsiedniej celi.

Później dowiedziałem się, że w celi tej siedziały jakieś niewiasty. Około 11 przed południem zjawił się sędzia śledczy, któremu przekazano sprawę.

Badania były krótkie. powtarzałem, że nic ponadto, com powiedział naczelnikowi policji, nie powiem.

Sędzia zapisał moje oświadczenie do akt sprawy i polecił fotografowi sfotografować mnie.

Fotografia moja była czemś tak nieprawdopodobnem, że trudno było uwierzyć, by człowiek mógł tak wyglądać. Rysów twarzy, oczywista, żadnych, jedna maska w bandażach. Ta okoliczność ułatwiła mi ukrywanie się przed różnego rodzaju prowokatorstwem.

Tego samego dnia o godzinie 5 po południu zostałem przewieziony z Zawiercia do Będzina w asyście 15 kozaków. Cała ulica, od więzienia aż do dworca w Zwierciu, była obsadzona szpulerem kozaków.

W Będzinie posadzono mnie do niewielkiej celi razem z kryminalistami. W celi tej siedziałem parę godzin. Złodziejom imponowało to, że, pomimo bicia, nikogo nie wsypałem, miałem wśród nich ustaloną reputację mocnego człowieka, reputacja ta szła za mną po przez wszystkie więzienia.

Muszę szczerze wyznać, że ludzie, z którymi spędziłem te parę godzin w jednej celi, okazywali dużo serca. Byli to znani bandyci z „szajki”, słynnego na całą b. gubernję piotrkowską, **Krwawnika**. Wyróżniał się wśród nich jeden, którego wszyscy niewolniczo słuchali; był to rosły, przystojny mężczyzna, prawa ręka swojego atamana, nazywał się **Trocha**. Przy jego pomocy zawiadomiłem organizację o mojem aresztowaniu i miejscu pobytu. Na drugi dzień otrzy-

małem od miejscowych towarzyszy obiad i wszelką żywność do więzienia. Węzienie Będzińskie słynne było z brudów i robactwa. Wszy będzinskie znane były na cały kraj, jako „największe“, w celach brudno, w siennikach aż się roilo od robactwa.

Zaraz po wprowadzeniu mnie do celi, zażądałem siennika z nową słomą. Tak zwany „smotritiel“ więzienia bał się tych bandytów, — to też zrobił wszystko, co oni chcieli. Otrzymałem dobry nowy sien-
nik, któryś z nich oddał mi swoją poduszkę. W ciągu nocy kilka razy dawano mi herbatę. Późno w nocy zasnąłem, obudziłem się nad ranem o świcie, ściśle biorąc, obudził mnie huk wystrzałów karabi-
nowych — to rozstrzelili skazanych na mocy sądu wojenno - po-
lowego na dziedzińcu więziennym!

Echa salw karabinowych, na dziedzińcu więzienia wskazywały między innymi i mnie, że tuż za ścianą celi więziennej rozstrzygnię się mój los, tak samo, jak tamtych, którzy już nie żyją!...

Chory, zboląły fizycznie, nie byłem w stanie reagować moralnie na to okrucieństwo, które boleśnie odbiło się na wszystkich, siedzą-
cych ze mną.

W parę dni później dowiedziałem się, że po takiej nocy ludzie dochodzili do obłędu, szczególnie w tych celach, których okna wy-
chodziły na tę część podwórka, gdzie mordowano ludzi.

Ból dokuczał mi okropnie, w duszy pragnąłem, żeby jak naj-
prędzej kaci cara postawili mnie pod słupem. Zdawałem sobie sprą-
wę, że w takim stanie łatwiej mi będzie umierać...

O godzinie 9-tej przeniesiono mnie do innej celi, a ponieważ
byłem zupełnie bezwładny, dano mi małego żydka „doliniarza“ do
obsługi.

W godzinę później zjawił się u mnie Dr. Dyner, zbadał mnie
szczegółowo, w czasie badania prawie szeptem zapytał, za co zosta-
łem aresztowany. Powiedziałem mu, że jestem instruktorem bojów-
ki, że złapano mnie na robocie.

Później dowiedziałem się, że jemu zawdzięczam życie, albowiem
Dr. Dyner, jako powiatowy lekarz, wydał orzeczenie, że dni moje są
policzone, że o własnych siłach nie mogę stać na nogach.

W tym samym czasie w „Dumie“ petersburskiej rozpatrywano
sprawę zniesienia stołypinowskiego „ukazu“ o sądach wojenno-polo-
wych; istotnie, 10 maja „Duma“ zniósła drakońskie prawo o sądach
polowych. W parę dni po zniesieniu sądów polowych, (o czym nie
wiedziałem) wstałem z pościeli i podeszłem do okna z zamiarem zba-
dania, czy czasem nie udałaby się ucieczka. W tym samym czasie
przechodził korytarzem „smotritiel“, otworzył okienko i zobaczył

mnie stojącego. Dał znać władzom powiatowym — w niespełna godzinę zjawił się w mojej celi prokurator i cały szereg innych stupajek carskich, by naocznie przekonać się, że żyję i nie mam zamiaru umierać.

Po tej wizycie byłem 6 dni w niepewności.

Wreszcie spór, istniejący pomiędzy gubernatorem wojennym a cywilnym w Piotrkowie, rozstrzygnął **Skałon** na korzyść cywilnego gubernatora, który w przeciwieństwie do wojennego utrzymywał, iż niema prawa o sądach polowych, przeto muszę podlegać zwykłym wojennym sądom, a nie wojenno - polowym.

Po wyjaśnieniu, komu podlega moja sprawa, zostałem przewieziony do dyspozycji sędziego śledczego do szczególnych spraw przy Piotrkowskim Sądzie Okręgowym. Przed wywiezieniem mnie z Będzina otrzymałem informacje, że osadę Wodowice spalono i że starszy strażnik, w obecności którego bili mnie kozacy, został zabity. Żyd sklepikarz uciekł zagranicę. W związku z zabiciem starszego strażnika w Zawierciu, aresztowano młodego chłopca, towarzysza **Konrada Bronisława**, którego oskarżono o to, iż widział, kto strzelał do strażnika. Przywieziono go pod silną eskortą do Będzina. Czułem się znacznie lepiej. Chodziłem swobodnie po celi.

Dałem znać o nowym więźniu politycznym „na wolność”, skąd na drugi dzień przyniesiono mu obiad.

Traf chciał, że w dwa czy też trzy dni po przywiezieniu **Konrada**, zasypał się dozorca z „grypsankami” (listy). Między innymi była grypsanka do mnie, w grypsance tej pisano mi o przygotowaniach do ucieczki i t. p.

Nocą tego samego dnia zostałem przez 6 żandarmów przewieziony do Piotrkowskiego więzienia.

VI

W piotrkowskim więzieniu ulokowano mnie na parę godzin w tak zwanym „mecu” u **Mikołajczyka**.

„Mecem” zwano kilka cel w suterrenach, w których siedzieli więźniowie po przybyciu do więzienia.

Osobliwością „mecu” był znany na całe więzienie dozorca **Mikołajczyk**. Łodzieje bali go się, jak ognia.

Pamięć wzrokową miał nadzwyczajną, zdarzały się wypadki, że po kilkunastu latach poznawał więźnia, który zjawił się do Piotrkowa pod przybranym nazwiskiem.

Mikołajczyk więźniów dzielił na trzy grupy — na „polityków”, „smoluchów” i na „szubranych” („szubranym” nazywano każdego, kto kradnie, w odróżnieniu od „frajera”, u którego kradną).

Podczas kilkomiesięcznego przebywania w piotrkowskim więzieniu lubilem prowadzić rozmowy z **Mikołajczykiem**, szczególnie po przybyciu nowej partii więźniów.

Rozmowy prowadziłem na tak zwanem „sybirackiem” podwórku podczas spaceru. Zwykle po skończonej rewizji **Mikołajczyk** wychodził na podwórko, klnąc na czem świat stoi na psią służbę. Wówczas podchodziłem do niego z zapytaniem — ilu przybyło „politycznych”.

Mikołajczyk narazie niechętnie odpowiadał, ale że był gadatliwy, więc wszystko wyśpiewał.

Wieczorem w dniu przybycia mego do więzienia, zjawił się u mnie znany licznym towarzyszom siedzącym ongiś w Piotrkowie, sędzia śledczy do szczególnych spraw **Kołamacki**, w towarzystwie podprokuratora **Kataranowskiego**. Sędzia **Kołomacki** uchodził za zręcznego człowieka; rozpoczął od słów współczucia. Oburzał się na władze policyjne, które dopuścili do bicia mnie.

Nie wdawałem się z nim w żadne rozmowy. Ale też i nie przeskadzałem mu mówić.

Był on również niezłym psychologiem, bo jak zobaczył, że „piękne” jego słowa nie robią żadnego wrażenia, momentalnie zmieniał temat rozmowy, i od razu robił się sztywny do przesady.

Pierwsze badania wypadły naogół tak samo, jak w Zawierciu. **P. Kołamacki** oczywiście nie pozwolił się zbyć ogólnikami, natarczywie pytał o moją rodzinę, to znów o miasta różne, próbując znaleźć jakąś nić, przy pomocy której dowiedziałyby się nie tylko o tem, co ja chcę mówić, ale i o tem, co on by pragnął wiedzieć.

Na wszystkie jego wybiegi miałem ustaloną zgóry odpowiedź.

Nic nie wskórawszy, spisał protokół i wezwał dyżurnego pomocnika naczelnika więzienia, wydając mu polecenie, by trzymać mnie w izolacji od innych więźniów.

Prosto z kancelarii zostałem posadzony do celi Nr. 18 na oddział dozorczy **Chmielskiego**, bardzo porządnego człowieka, który przynosił nam gazety i różne produkta.

Ponieważ wywieziono mnie dość raptownie z Będzina, przeto nie mogłem zdobyć sobie odpowiedniej ilości bielizny.

Po mojem aresztowaniu na moje miejsce do Częstochowy przyjechał **Tarantowicz**, znany później prowokator, który został w Rzymie zabity.

Tarantowicz w dość bezceremonjalny sposób obszedł się z moimi rzeczami, poprostu zabierając wszystko, co pozostało po mnie, i fakt ten był bardzo charakterystyczny i do pewnego stopnia rzucał na niego, jako na człowieka, światło.

To też zmuszony byłem w pierwszą sobotę wyprać sobie bieliznę i bez bielizny przespać noc, było mi trochę przykro, bo derka była dość szorstka.

W parę dni później otrzymałem bieliznę i obiady z „wolności”.

Więźniami politycznymi zajmowała się p. adwokatowa **Rudnicka** — dziś pani **Prokuratorowa**.

Więzienie piotrkowskie, chociaż było szalenie przepełnione, było jednak bardzo czyste. Podłogi, sienniki były wprost wzorowo czyste. Utał się zwyczaj, że jeżeli ktokolwiek z więźniów, pijąc z kanełki wodę, kapnął na podłogę, to natychmiast wycierał miejsce zalane wodą do sucha szkłem.

Utrzymanie było dobre, grochówka piotrkowska była wprost fenomenalna.

Często narzekam dziś, że nie mogę w domu otrzymać tak smacznej grochówki, jak w piotrkowskim więzieniu.

Rygor w stosunku do „politycznych” był znacznie słabszy, niż w stosunku do kryminalnych — zasadniczo więźniowie polityczni siedzieli oddzielnie.

Spacer raz na dzień — pół godziny. Ja miałem często dłuższy spacer — w tych dniach, gdy cela moja była ostatnia.

Pomimo pewnego uprzywilejowania, z jakiego korzystałem pod względem żywnościowym, w każdym razie były chwile, kiedy czułem się fatalnie. Cały wolny czas spędzałem na czytaniu, a kiedy czytaniem byłem przemęczony, oddawałem się z zamiłowaniem rozmowie na mię z towarzyszami z sąsiedniego gmachu. Mówiłem na mię szybko, dziś jeszcze nie zapominałem i mogę się swobodnie porozumiewać na mię.

W czasie mojego przebywania w więzieniu piotrkowskim siedziało dość duża ilość „politycznych”.

Ze względów konspiracyjnych, unikałem zbliżania się z nieznanymi towarzyszami.

Korzystałem z bardzo szczegółowych informacji o poszczególnych towarzyszach, udzielał mi ich ojciec tow. **Drałwy**.

Rozmowa z nim sprawiała mi bardzo dużo przyjemności, bowiem był to człowiek ogromnie odczytany i bardzo sympatyczny.

Niema pewno wśród byłych więźniów politycznych nikogo, kto by nie wspomniał o nim z przyjemnością!...

Po dwóch miesiącach zjawił się u mnie późno wieczorem p. sędzia **Kołomacki** na badanie.

Zaraz po przywitaniu się ze mną, oznajmił mi, że otrzymał urzędowe informacje z Włocławka, z których wynika, że podane przeze mnie nazwisko jest zmyślane, że w księgach ludności Włocławka zupełnie nie figuruję. Po wypowiedzeniu tego, spojrzał mi w oczy, jakby chciał wyrwać z nich kryjącą się tajemnicę.

Na wszelkie pytania odpowiadałem twierdzeniem, że nazywam się **Kwapiński**. Po godzinnej konferencji, p. sędzia jak nie pyszny poszedł z niczem. Mogłem przyspieszyć zakończenie śledztwa i co za tem idzie stanąć przed wojennym sądem, ale z wolności otrzymałem informacje, żeby zwlekać, gdyż idą sprawy pod przewodnictwem znanego kata, generała **Koziołka**, na którego dokonano zamachu. W zamachu tym brał udział tow. **Morawski**, przewodniczący związku spożywczego, za co został skazany na 20 lat katorgi.

W czasie mojego sześciomiesięcznego przebywania w piotrkowskim więzieniu, byłem badany z pięć razy. W końcu października gdy zjawił się u mnie sędzia śledczy, oznajmiłem mu, że podane nazwisko „Kwapiński” jest tylko pseudonimem, ale swojego mu nie powiem, wszelkie rozmowy na ten temat przerywałem oświadczeniem, że **nic o sobie nie powiem!**

Wobec tak kategorycznego oświadczenia p. **Kołomacki** wstał i wyszedł, zjawił się na drugi dzień w towarzystwie podprokuratora i trzech lekarzy.

Lekarze wymierzili moje ciało i orzekli że mam lat 20.

Na tem zakończono faktyczne dochodzenie śledcze.

Wpisano do akt mojej sprawy przy rubryce „imię i nazwisko”: „Imienujeszcyj siebie Jan Władysławowicz Kwapiński” — Nazwał się „Janem Władysławowiczem Kwapińskim”.

Przed samym wyjazdem z Piotrkowa do X pawilonu w Warszawie, w czasie mojego spaceru, z III piętra pawilonu ktoś zaczął witać się ze mną na migi. Na zapytanie, skąd on mnie zna otrzymałem odpowiedź, że z organizacji łódzkiej. Pytałem, za co siedzi, odpowiedział, że za zamach na oberpolicmajstra Chrzanowskiego, dodając z pewną przechwałką, że przynajmniej wie, za co siedzi. Nie dowierzając sobie, zapytałem go, czy on brał udział w tym zamachu, otrzymałem twierdzącą odpowiedź.

Przechwałka ta speszyła mnie bardzo tembardziej, że nie znałem tego człowieka zupełnie. Dowiedziałem się później, że dzięki gadatliwości i chwaleniu się jego w więzieniu łódzkim, zasypano go.

Już będąc w katordze. dowiedziałem się, że w dwa miesiące

po moim wyjeździe z Piotrkowa, został skazany na śmierć i wyrok wykonano.

W pierwszych dniach listopada 1907 roku zostałem przewieziony z Piotrkowa, przez „Zborniak” — (więzienie przesyłkowe) do X Pawilonu cytadeli warszawskiej.

VII

Do dziesiątego pawilonu zostałem przewieziony w więziennej karetkce, tak dobrze znanej i pamiętnej mieszkańcom Warszawy. Przed samym odjazdem z przesyłkowego więzienia do cytadeli, przybył do mnie adwokat **Makowski** — obecnie profesor, i zakomunikował mi, że bronić mnie będzie w sądzie wojennym p. **Leon Berenson**.

Na tem miejscu pragnę wyrazić słowa uznania adwokatom warszawskim, którzy pod przewodnictwem p. **Patka** stworzyli specjalne koło adwokatów w celu obrony wszystkich więźniów politycznych.

Cały szereg młodych adwokatów nie ograniczył się tylko do obrony politycznych w sądach wojennych, przeciwnie, byli to ludzie pełni poświęcenia i odwagi; niejeden ryzykował długoletnią utratę wolności, przynosząc do więzienia listy i nawet broń.

Niedawno p. **Szumański** ogłaszał w „Robotniku” swoje wspomnienia z tego okresu, dobrzeby było odtworzyć możliwie dokładnie przed opinią zjednoczonej już Polski rolę P. P. S. w walce o wolność kraju.

Nad okresem zmagania się P. P. S. z caratem historycy przechodzą z obojętnością, równą nieuctwu!

Dawni, dzielni nasi obrońcy, chluba palestry ówczesnej, adwokaci Warszawy, Łodzi i wielu miast polskich, mogliby bardzo dużo opowiedzieć społeczeństwu o bohaterach proletarjackich. Przekonany jestem, że nadejdzie chwila, kiedy **prawdziwi** historycy zajmą się tym okresem w imię sprawiedliwości dziejowej!...

Jadąc przez ulice Warszawy w asyście żandarmów — myślałem po raz pierwszy z trwogą wewnętrzną, czy to ostatni raz, chociaż z za kraty małego okienka karetki więziennej, oczy moje oglądają Warszawę?!

Starałem się odpychać od siebie myśli o najbliższej przyszłości.

Karetkka podjechała pod gmach więzienia, zwanego X pawilonem. Żandarm zeskoczył z siedzenia, otworzył drzwi — „Proszę wy-

siadać!" Wprowadzono mnie do kancelarii X pawilonu, na I-szem piętrze.

Z bijącym sercem kroczyłem po schodach tego więzienia, z którego bardzo niewiele w tym czasie wychodziło z życiem.

Po spisaniu różnych formalności, zostałem osadzony w celi Nr. 56.

Jak tylko zamknięto drzwi, usiadłem na krześle i machinalnie zacząłem rozglądać się po celi. Kilka minut siedziałem w takiej pozycji, poczem wstałem, przeszedłem się parę razy, spoglądając już bardziej uważnie na wszystkie przedmioty.

Duża cela, stół, dwa wiedeńskie krzesła, łóżko, poduszka z pierza i przyzwoita derka. Okna duże, ale szyby matowe. Otwierać okna nie można było, dla przewietrzenia celi otwierano oberluft, na którym była bardzo gęsta siatka.

Pożywienie w X pawilonie było dobre.

Otrzymałem zrana herbatę, 4 bułki kajzerki i 4 kawałki cukru. O godzinie 12 dawano półtora funta chleba pyłowego, a o 1-szej obiad, składający się z zupy z kawałkiem mięsa, a na drugie danie kotlet z makaronem i kartoflami. Na kolację taką samą zupę, jak na obiad, i herbatę.

Pomimo dobrego „wiktu“, siedzenie w X pawilonie było bardzo ciężkie pod względem moralnym. Gdziekolwiek człowiek rzucił okiem, — wszędzie napisy, świadczące o tem, że niejeden dzieśiątek siedzących w tej celi został stracony.

Późno wieczorem, kiedy wyczerpany klucznik - żandarm mniej uważnie śledzi cele, w których więźniowie jeszcze nie są skazani na śmierć — ściany X pawilonu zaczynają mówić.

Dziwna zaiste mowa tych ścian poprzez stuk alfabetyczny. Więźniowie porozbiorowej Polski, przebywający w X pawilonie od początku tragedji porozbiorowej aż po rok 1906, zostawiły ślady swojego przebywania w tych murach.

Przysłuchiwałem się bardzo uważnie rozmowie za pomocą stukania w ściany i podłogi w sąsiednich celach. Na stole moim alfabet, potrzebny do rozmów, miałem napisany igłą. Rozmawiać przy pomocy stukania nie mogłem, bo w piotrkowskim więzieniu rozmawialiśmy na migi.

Po tygodniu już z pewnym trudem mogłem porozumieć się ze swoim sąsiadem.

Pierwszą noc w X pawilonie spędziłem fatalnie. Długo bardzo nie mogłem zasnąć, chodziłem do późna w noc po celi; myśli, jak

przelotne ptaki, biegły hen, poza mury tego więzienia. Życie za kratami wydawało mi się rajem. To też marzyłem, jak dziecko, o najdrobniejszych rzeczach z „wolności”.

Z uporem wracałem do różnych epizodów niedawnych walk rewolucyjnych, tworząc sobie z myśli tych pewną całość, przy pomocy której usprawiedliwiałem przed sobą przebywanie w więzieniu.

Rano — jeszcze leżałem w łóżku, kiedy żandarm otworzył już celę, wpuszczając żołnierza, który wszedłszy na palcach, starał się jak można najciszej ją sprzątnąć.

Około 9-ej wstałem, wypilem herbatę. Po herbacie wyprowadzono mnie, w asyście dwóch żołnierzy i jednego żandarma, na spacer.

Spacer trwał bardzo krótko, bo 15 minut. Tak krótki czas tłumaczył się tym, że więźniowie przeważnie w pojedynkę chodzili na spacer, a miejsc spacerowych było mało.

Na podwórku spacerowym ulokowany był zegar, żeby każdy więzień wiedział, jak długo spaceruje.

Żandarm unikał rozmów ze mną, ręką wskazywał na zegar, co oznaczało, że spacer skończony. Monotonnie spędzałem dni i tygodnie w X pawilonie, aż do wręczenia mi aktu oskarżenia, co miało miejsce 23 listopada 1907 roku.

Sąd wyznaczony miałem na 6 grudnia, każda godzina zatem przybliżała rozstrzygnięcie...

Przed sądem trzymałem się całą siłą woli, najgorzej było pomiędzy godziną 3 a 4 po północy, albowiem w tych godzinach wprowadzano skazańców na stracenie z cel.

Starałem się za wszelką cenę spać w tych godzinach, żeby nie słyszeć szamotania się tych, których wywlekano na stracenie już na pół martwych. Było wielu takich, o których dowiadaliśmy się, że idą na stracenie z okrzyków: „Żegnajcie towarzysze! już Was nie zobaczę!” „Niech żyje rewolucja!” „Niech żyje Niepodległa Polska!”

Kto słyszał taki okrzyk, który rozbrzmiewał wśród nocy w murach X pawilonu, ten nigdy nie zapomni głosów tych, którzy umierali za Polskę, wtedy, gdy duży odłam społeczeństwa polskiego kornie zginał głowy przed potęgą Romanowów.

Często, o bardzo często, już jako poseł na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, wspominam te noce, siedząc na ławie poselskiej i przyglądając się ludziom, którzy byli i są ministrami polskimi! Ilu wśród nich było śmiertelnymi wrogami tych wszystkich, którzy z okrzykiem o **Niepodległej Polsce** umierali na stokach cytadeli!...

Są chwile, że chciałoby się wstać i rzucić w twarz tym intruzom: „**Precz z ziemi, krwią i męką męczenników zroszonej!**”

O, gdyby mogli wstać z mogił ci wszyscy, których pomordowano zato, że chcieli być wolni, przemówiliby takim głosem, że niejednen z tych panów, co decyduje w chwili obecnej o losach Polski, skamieniałby ze strachu!...

VIII

W dniu 6 grudnia 1907 roku, wczesnym rankiem, wyprowadziło mnie z celi X pawilonu na sąd dwóch żandarmów i dwóch żołnierzy do biblioteki oficerskiej, leżącej opodal pawilonu. Skoro tylko wprowadzono mnie do gmachu biblioteki, zjawił się u mnie mój obrońca, p. Leon Berenson.

Rozmowa jakoś nie kleiła się, instynktownie wyczuwałem, że mój szanowny obrońca stara się rozmową skrócić mi czas przed rozpoczęciem sprawy.

O godzinie 10-tej stanąłem przed wojenno-okręgowym sądem.

Obok mnie zasiadł mój obrońca; przewodniczył obradom sędu pułkownik Kamiński.

Na sali kilku oficerów i świadkowie. Przed przystąpieniem do odczytywania aktu oskarżenia wszystkich świadków usunięto z sali.

Przewodniczący sądu przed odczytaniem aktu, zapytuje o moje nazwisko; odpowiedziałem **po polsku** tak samo, jak i na śledztwie, że nazywam się „**Kwapiński**”.

Dochodzenie sądowe trwało około półtorej godziny wraz ze zbadaniem świadków.

Brakowało dwóch świadków: jeden z nich został zabity przez bojową organizację w Zawierciu, drugi uciekł zagranicę, **w obawie przed śmiercią!**...

Świadkowie starali się mówić bardzo mało, zresztą zeznania ich były raczej zwykłą formalnością, z uwagi na moje przyznanie się do kierownictwa akcją.

Po tych formalnościach zabrał głos mój obrońca.

Mowa p. Leona Berensona była wypowiedziana z dużą swadą i przekonaniem. Przyznaję, że przemówienie mojego obrońcy zrobiło na mnie bardzo duże wrażenie.

Mój obrońca powiedział w końcu swojego przemówienia głosem podniesionym:

„Panowie sędziowie, macie przed sobą **żołnierza rewolucji, którego przemocą postawiono przed sądem. Widzicie człowieka,**

głęboko wierzącego w słuszność swojej sprawy, dla której oddał życie swoje młode. Usłyszeliście z jego ust, iż uważa was za narzędzie ucisku, z którym on, jako członek Polskiej Partji Socjalistycznej, z całym zaparciem się walczył. Nie macie prawa, panowie sędziowie, skazywać go na karę śmierci, albowiem na jego miejsce staną setki innych w obronie nie tylko idei, której służył, lecz i dla zemsty za jego życie!!“

Cały wysiłek mojego obrońcy skierowany był w kierunku uratowania mi życia.

Był to okres, kiedy zarówno więźniowie, jak i obrońcy, wierzyli, że rewolucja jeszcze nie została stłumiona, a więc wierzono, iż nastąpi nowa fala rewolucyjna, która zmiecie z powierzchni życia carał wraz z całym aparatem ucisku...

Po skończonej mowie obrońcy, przewodniczący sądu raz jeszcze zapytał mnie, czy nie życzę sobie przed wydaniem wyroku wyjawić prawdziwe swoje nazwisko — odpowiedziałem: „Nie“!

Udzielono mi ostatniego słowa, w którym powiedziałem, „że jestem rewolucjonistą i, jako taki, wykonywałem z pobudek ideowych czyny, wymierzone przeciwko uciskowi, należałem do partji, która dąży do zdobycia Niepodległości Polski na drodze bezpośredniej walki rewolucyjnej. Jeżeli panowie uważacie, że czyny moje kłócą się z zasadami ludzi, którzy pragną uwolnić kraj i lud pracujący z niewoli, to wydajcie wyrok na mnie, o jedno proszę — nie zapominać, że jestem żołnierzem rewolucji, który ma prawo domagać się od was, byście wymierzili mu karę, jako przystoi żołnierzowi“.

Sąd po mojem przemówieniu udał się na naradę.

Narady sądu trwały około pół godziny. Zostałem skazany na zasadzie 2 cz. 102 art., 1627 i 279 art. na karę śmierci przez powieszenie!

P. Leon Berenson po ogłoszeniu wyroku zwrócił się do mnie, wziął mnie za ręce i długo patrzył mi w oczy...

Nagle opuścił ręce i ledwo dosłyszalnym głosem powiedział: „Bądźcie dobrej myśli, jak tylko zamienią karę śmierci, niezwłocznie dam wam znać“

Chwil kilka stałem, jak osłupiały, oparty o jakąś ścianę.

„Pójdziemy“ — głosem łagodnym zwrócił się do mnie żandarm; ocknąłem się z zadumy i poszliśmy...

Zaledwie wprowadzono mnie do celi, zjawił się u mnie starszy żandarm z zapytaniem, co mają mi podać, bo już dawno jest po obiedzie.

„Co chcecie — odparłem — byle prędko, bo mi się chce jeść“.

Obiad zjadłem z apetytem, po obiedzie napiłem się herbaty, poczem położyłem się w ubraniu i zasnąłem kamiennym snem. Spałem tak twardo, że nie budzono mnie na kolację. Obudziły mnie jakieś krzyki, na korytarzu i szamotanie się; byłem tak zaszpany, że nieodrazu mogłem uprzytomnić sobie, skąd pochodzą głosy.

Zerwałem się na nogi i nagle uprzytomniłem sobie, że wczoraj zostałem skazany, a głos, który dochodził do mojej celi, był to głos dobrego znajomego, bojowca z Łodzi. Tak, to jego prowadzą na stracenie, stanął przede mną jak żywy tow. Sieciński, młodziutki brunecik...

„Żegnajcie, towarzysze! Śmierć katom! Niech żyje Niepodległa Polska!

Donośny głos młodego bojowca rozległ się głośnie echem po korytarzu X pawilonu.

Trwało to krótko, ale w mózgu moim długo słyszałem głos jego!...

Na dworze ciemno jeszcze; wśród ciemności kaci mordują tych, co walczą z ciemnotą i uciskiem...

Zacząłem nowy dzień, dzień pozornie taki sam, jak wczorajszy, a jednak jakże inny. Przez pierwsze godziny odganiałem od siebie myśli, które z chorobliwą natarczywością wdzierały mi się do mózgu, szepcząc: już zbliża się i twoja godzina...

Próbowałem czytać. Niestety! Dzień spędziłem na chodzeniu po celi, a gdy zawitał wieczór, a później noc, przeraźliwie długa, wówczas czyniłem nadludzki wysiłek, żeby wyjaśnić sobie samemu, że jednak tak być musi, niema żadnej siły, która zdolna była aby zmieścić to, co się stało.

Na spacerze oglądałem znajome drzewa i w myślach żegnałem się z nimi, wychodząc z podwórza do celi.

Drugą noc spędziłem bezsennie, chodziłem po celi, wydeptując ścieżkę. Żandarm - klucznik bardzo często otwierał wizytkę, oglądając, czy aby wszystko jest w porządku.

Na trzeci dzień zacząłem rozmawiać ze sobą, zadawałem sobie pytania, czy śmierć jest straszna?!

W odpowiedzi sobie starałem się jak najbardziej realnie uzmysłwić szczegóły śmierci, poczynawszy od wyjścia z celi, aż do założenia stryczka na szyję.

Byłem tak przejęty temi przeżyciami, że niemal czułem fizycznie na swojej szyi sznurek!...

Na piąty dzień podsumowałem wszystko, com zrobić, jako bo-

jowiec, a w konkluzji sam przed sobą orzekłem, że, chociaż życie jest tak piękne, to jednak musi się skończyć.

A gdy raz zająłem takie stanowisko, starałem się odpędzić od siebie wszystkie nadzieje.

W siódmym dniu oczekiwania przestałem się interesować wolnością — żyłem przygotowaniem do śmierci. Czy bałem się jej? nie! Ale też z równą siłą chciałem żyć! Urok życia jest tak wielki, że rozstanie się z niem dla młodego chłopca było bardzo trudne.

Ósmego dnia po południu, już o zmroku, starszy żandarm otworzył drzwi mojej celi ze słowami:—„**Proszę do kancelarii**“. W pierwszej chwili nie mogłem zorientować się, po co wołają mnie, ale gdy wszedłem na schody, prowadzące do kancelarii, wówczas, jak błysk słońca, rzuciła się myśl — to na pewno mój obrońca z dobrą nowiną. Jeszcze nie zdążyłem wyjaśnić sobie dostatecznie jasno możliwości zamiany kary śmierci na katorgę, a już byłem w objęciach mojego obrońcy, który całując mnie, mówił: „**Zamienili wam karę śmierci na 15 lat katorgi. Zmieniono dlatego, że byliście niepełnoletni**“.

Byłem tak oszołomiony tą wiadomością, że czas jakiś nie mogłem przyjść do siebie.

A gdy opanowałem swoje nerwy, zaczęliśmy rozmowę z moim obrońcą na temat ewentualnych spraw, jakie mogą mi jeszcze wytoczyć!

Szczerze opowiedziałem mu, jakie mnie jeszcze czekają sprawy na wypadek jakiejś prowokacji.

Zapisał sobie adres tow. Oli, obecnie marszałkowej **Piłsudskiej**, której zakomunikował o przebiegu mojej sprawy. Towarzyszka Ola miała adres mojej matki, której miała dać znać o mnie.

Po półgodzinnej rozmowie obrońca mój pożegnał się ze mną słowami: „**Do prędkiego zobaczenia najdalej za pół roku na wolności!**“

Niestety, przepowiednia mojego obrońcy nie sprawdziła się; zostałem aresztowany w 1907 roku, a wyszedłem na wolność w roku 1917!

W ubiegłym roku, dnia 23.X. otrzymałem od p. Leona **Berensona** następujące pismo:

Szanowny i łaskawy Panie Pośle!

Zgodnie z przyrzeczeniem załączam akt oskarżenia w Waszej sprawie. Cekał on długie lata, by wrócić do prawnego właściciela, jako wspomnienie pięknej karty Waszego życia.

Łączę uścisk dłoni **Berenson.**

Wielce Szanowny Panie Mecenasie! Niechże wolno mi będzie po 20 latach wyrazić serdeczne podziękowanie za okazania mi serca, oraz złożyć wyrazy hołdu dla Waszej cywilnej odwagi, z jaką broniliście tych, co chcieli Wolnej Zjednoczonej i Niepodległej Polski!

IX

Po zamianie kary śmierci na katorgę, zostałem przewieziony 15 grudnia 1907 roku z X pawilonu do „Arsenału” — (główne więzienie kryminalne na ulicy Długiej).

„Arsenałem” zwano więzienie na Długiej dlatego, że, za czasów polskich, miał być w gmachu tym arsenał.

Zaraz po wprowadzeniu mnie do kancelarii więziennej, wzięto ode mnie różne drobiazgi do przechowania.

Następnie starszy dozorca, zwany „intendentem”, poprowadził mnie do składu, gdzie zmuszony byłem swoje ubranie zdjąć, przywdziewając szare, więzienne. Po tej pierwszej operacji zaprowadzono mnie do kuźni, gdzie zostałem zakuty w długie nożne kajdany, wagi 8 funtów. Po dokonaniu tej bolesnej dla mojej ambicji „operacji”, zrozumiałem potworność wyroku, głoszącego — „pozbawiony wszystkich praw”.

Uczucie buntu wzmogło się w mojej duszy z powodu poniewierania mojej godności własnej — ludzkiej.

Przestałem być człowiekiem pod względem prawnym, zostałem rzeczą, z którą robią, co chcą!...

Powiedziałem sobie jednak: **choć zabrano mi wolność, duch mój wolny jest — dalej ani kroku, trzeba bronić swojej godności, nawet będąc za kratą!**

Rzeczywistość jednak była zbyt bolesna, szczególnie po wprowadzeniu mię do celi, zwanej „zborną”, przez którą wszyscy nowoprzybyli więźniowie muszą przejść.

Jak tylko wszedłem do celi, podszedł do mnie jakiś drab, obejrzał mnie od stóp do głowy, brzęknął kajdanami i spytał z ironicznym uśmiechem: „Za co to ptaszka zakuli w takie oto piękne łańcuszki?”

W odpowiedzi na to głosem złym odrzekłem: „Djabli ci do tego!”

— Widzisz go, jaki „chojrak” — pewno bojowiec, — rzucił ktoś z boku.

Po tym obiecującym wstępie wcale niedwuznacznie złodzieje prowokowali mnie do awantury.

W „arsenale”, tak, jak prawie we wszystkich więzieniach warszawskich, panował wówczas silny antagonizm pomiędzy kryminalistami, a „politycznymi”.

Przyczyna antagonizmu była, jeżeli chodzi o „arsenał”, dwójaka.

Po pierwsze: do czasu przybycia pierwszej partii więźniów politycznych ze sprawy 67, kryminaliści korzystali ze względnej swobody; cały dzień, aż do apelu, cele były pootwierane, złodzieje mogli swobodnie chodzić sobie z celi do celi, grać w karty, uprawiać homoseksualizm, kraść od słabszych fizycznie a zasobniejszych w gotówkę i t. d.

Z chwilą zjawienia się nowych mieszkańców do „arsenału”, sytuacja radykalnie zmieniała się — „złotą wolność” kryminalistom władze więzienne zabrały, zamykając pod klucz wszystkich. Od tej chwili złodzieje korzystali jedynie z półgodzinnego spaceru na równi z politycznymi. To też kryminaliści traktowali nas, politycznych, jako intruzów, którzy wdarli się do ich „domu”.

Druga przyczyna antagonizmu była raczej o charakterze społeczno-historycznym.

W Warszawie do roku 1905 wszelkiego rodzaju szumowiny, szczególnie na przedmieściach, dla mieszkańców tych dzielnic były plagą. Nie było dnia, żeby kilku lub kilkunastu robotników nie pokłuto nożami.

Nie było dnia, żeby żon i córek robotników nie napastowano często w oczach policji, która była w zмовie z kryminalistami.

Po pierwszym powszechnym strajku robotnicy zorganizowali samoobronę. Odwet ze strony robotników był okrutny. Złapanych w mieszkaniach i na ulicy złodzieiów prowadzono do „sądu ludowego”. Sąd ten mieścił się w fabrykach: Labora i Wulkanu. Zdarzało się bardzo rzadko, żeby złodziej, który dostał się do rąk „sądu ludowego”, wy dostał się żywy.

Nic też dziwnego, że na tem tle antagonizm więzienia był bardzo ostry, szczególnie w pierwszych miesiącach, kiedy więźniów politycznych w „arsenale” było znacznie mniej, niż kryminalistów.

Wiedząc o tem wszystkiem i widząc, jak się ustosunkowują kryminaliści do mnie na samym wstępie, postanowiłem żądać przeniesienia mnie z tej celi na oddział. Za żadną cenę nie mogłem zgodzić się na nocowanie z nimi w jednej celi.

Próbowałem szukać politycznych pośród 30 siedzących tam — niestety! Albo bali się przyznać, że są politycznymi, co zda-

rzało się także, albo też nie było politycznych właśnie tego dnia, w którym ja siedziałem. Jak tylko powzięłem decyzję, poszedłem do drzwi i zacząłem stukać. Dość długo czekałem, zanim dozorca zjawił się na moje stukanie.

Wreszcie doczekałem się, ale jakie było moje zdziwienie, kiedy ten drab-dozorca zamiast wysłuchać mojego żądania, zwrócił się do kryminalistów z wezwaniem, żeby mnie uspokoił. Nie zdążyłem odpowiedzieć na tę prowokację, jak drzwi zatrzęsnięto mi przed nosem. Jak tylko zamknął dozorca drzwi, podeszło do mnie kilku złodziei i zaczęli mi wygrażać pięściami, a jeden z nich oznajmił, że jeżeli będę niepokoił władze, to „skopsają” (pobiją). Nie czekając aż groźbę spełnią, podeszedłem do drzwi i zacząłem walić z całej siły.

Taki obrót rzeczy spieszył kryminalistów i dozorcę, który zjawił się w celi.

Zażydałem naczelnika; dozorca, widząc mój upór, zamknął celę, poczem zjawił się u mnie starszy dozorca, który, wysłuchawszy mojego żądania, szyderczo uśmiechnął się i polecił dozorczy posadzić mnie na V oddział. Posadzono mnie do celi 33, gdzie siedziało 8 politycznych i 29 kryminalistów.

Laraz, jak tylko zdążyłem rozlokować się, podeszedł do mnie tak zwany „starosta” celi, który oznajmił mi, że podczas apelu muszę w szeregu stać, a jutro mam kubły wynosić z dwoma innymi towarzyszami, i sprzątać celę.

Byłem speszony tem, co usłyszałem, niebawem dowiedziałem się od towarzyszy, że kryminaliści nic w celi nie robią, a tylko zmuszają naszych towarzyszy.

Postępowanie złodziei było ohydne ze stanowiska „więźnia”, ale szukanie „sprawiedliwości” w tem otoczeniu było zbędne.

To też jeszcze dziś wspominam te chwile z odrazą. Rząd carski specjalnie starał się dokuczyć nam, sadzając nas, politycznych, razem ze zbrodniarzami. Naturalnie, ani nie podporządkowywałem się życzeniu „strosty” w sprawie „stania” w czasie apelu, ani też nie zgodziłem się wynosić kubłów, wręcz oznajmiłem im, że moja kolejka będzie dopiero za dwa tygodnie. Rano wyszli wszyscy z celi do umywalni, kubły pozostały. Dozorcy byli w zмовіe ze złodziejami, zaznaczyć należy, że większość dozorców byli to Polacy.

Celi nikt nie sprzątał, kubły stały; przed samym obiadem zjawił się zupełnie przypadkowo do celi naszej dyżurny pomocnik naczelnika więzienia. Zobaczywszy kubły w celi, zabrał „starostę” na

3 dni do karceru, poczem wydał polecenie kolejnego wynoszenia. Po tym incydencie stale powtarzały się awantury z kryminalistami we wszystkich celach. Nie było dnia, żeby ławkami nie odbywała się bijatyka. Władze więzienne w obawie przed jakąś większą awanturą, postanowiły oddać do dyspozycji politycznych 3 duże cele, ale w każdej z tych 3 cel zatrzymano po 3-ch kryminalistów, jako mężów zaufania władzy więziennej.

Dostałem się do celi 34, gdzie siedziało kilku proletariatchyków na czele z inżynierem Jeziorowskim i kilku S. D.-ków na czele z Pestkowskim — obecnie znanym komunistą.

Żyliśmy wszyscy w „komunie”; gospodarzem naszej „komuny” był tow. **Drumbel** z łódzkiej roboty niemieckiej. Tow. **Drumbel** prócz tego uczył nas wieczorem gimnastyki. Naturalnie, że pozorne położenie nasze się znacznie polepszyło, ale dokuczał nam straszny brud, jaki panował w „arsenale”. Niezliczone masy robactwa wprost zatruwały nam życie. Byli wśród nas towarzysze, którzy mieli rany na ciele z powodu stałego drapania się.

Postanowiliśmy zrobić głodówkę po dwóch miesiącach, żeby uwolnić się od tego ohydneho więzienia. W czasie wizytacji więzienia przez inspektora **Peca**, zbieraliśmy niezliczone masy wszy do buteleczek, byle przekonać go o niesłychanem niechlujstwie miejscowych władz; po każdej takiej wizycie groził nam karcer i t. d.

Wreszcie czara goryczy wyczerpała się: postanowiliśmy głodować; na drugi dzień wybrano nas 18 i w nocy wywieziono do różnych więzień po sześciu. Ja dostałem się do łomżyńskiego więzienia, które uchodziło za najlepsze w Kongresówce.

X

Jechaliśmy przez całą noc, pod eskortą etapowych żołnierzy, przyjechalśmy o ósmej rano do najbliższej stacji kolejowej „Czerwony Bór”, odległej od Łomży o koło 18 kilometrów.

Na stacji żołnierze przynieśli nam wody gotowanej na herbatę i pozwolili zjeść śniadanie. Po śniadaniu uformowano nas i ruszyliśmy piechotą do miasta.

Szliśmy rażno w takt muzyki naszych kajdan. Od czasu do czasu ktoś z nas próbował śpiewać, ale trwało to krótko, jakoś nie potrafiliśmy stworzyć odpowiedniego nastroju.

I nic dziwnego, wystarczyło tylko rzucić okiem na nasz orszak, wgłębić się choć na chwilę w przyczyny tego dziwnego marszu ludzi

młodych, zakutych w łańcuchy, idących pod silną eskortą uzbrojonych żołnierzy, a natychmiast zamierał uśmiech na twarzy!

Połowę drogi szliśmy przez piękne lasy łomżyńskie. W takt brzęku naszych łańcuchów szumiał wiatr, poruszając ogromnymi sosnami, które prężyły się ku wiosennemu słońcu.

Około południa, porządnie zmęczeni, zbliżyliśmy się do ogromnego zabudowania, bodaj największego w Łomży — do więzienia. Na skrócie drogi, kiedy nasza partja podchodziła do więzienia, z okien frontowych witali nas zoddali towarzyszki i towarzysze, machając chusteczkami.

Otworzyły się podwoje bramy więziennej, parami wprowadzono nas na dziedziniec. Było to 2 marca 1908 roku.

Zacząło się od zwykłych formalności przyjmowania więźniów od dowódcy etapu. Po skończonej rewizji, wprowadzono nas do dużej celi. Wydano nam wszystko nowe, czyste.

Na drugi dzień poszliśmy do łaźni. Tam, nauczeni przez miejscowych towarzyszy, rozluźniliśmy okrągłe obręcze od kajdan, wydłużając je w taki sposób, żeby można było w miarę potrzeby zdejmować kajdany.

Operacja ta była dość prosta, kładło się na kamieniu zakończenie obręczy w tem miejscu, gdzie jest nitowanie i uderzało się kilka razy kamieniem; obręcz okrągła robiła się podłużna, a to dawało możność zdejmowania kajdan, kiedy tylko dusza zapragnęła i kiedy nie widziało „naczalstwo”.

Ogólne warunki więzienia łomżyńskiego dadzą się scharakteryzować określeniem: **mieliśmy w więzieniu ustrój konstytucyjny**. Poza nadzwyczajną czystością, korzystaliśmy ze spaceru dwa razy dziennie po 2 godziny. Podwórko, przeznaczone do spaceru, było spore, wygodne. Latem było dużo kwiatów, któreśmy sami sadzili. Do spaceru były trzy podwórka, dwa męskie i jedno kobiece, nas, politycznych, władze więzienia puszczały także na podwórko kobiece.

Rozmowy z towarzyszkami mogliśmy prowadzić zupełnie swobodnie. Z niewiast siedziało kilka naszych towarzyszek, 2—3 esdeczki i kilka anarchistek z Białegostoku. Siedziały wówczas towarzyszki: Frenklowa, Rotte (Klara), Zielińska z Warszawy, żona Królikowskiego i inne.

Większość więźniów byli to polityczni, przeważna część skazana na odsiadywanie twierdzy, przysłani z głębi Rosji i Kaukazu. Dużo było żołnierzy skazanych za różne kary. Prócz niewiast siedziało sporo naszych towarzyszy bojowców z Łodzi, Zawiercia, Warszawy.

Pod względem moralnym było nam w Łomży bardzo dobrze, albowiem urządzaliśmy wykłady, pogadanki, wspólne czytanie ciekawych książek. Wśród nas był spory zastęp inteligencji.

Bardzo sympatyczne wrażenie w mojej pamięci pozostawili po sobie Rosjanie. Uprzejmi, mili i bardzo uczynni. Z początku żyliśmy wszyscy w jednej wspólnej komunie.

W miarę przedłużania się naszego pobytu w więzieniu, zaczęły się niesnaski. Dysonans do naszego współzycia wprowadził były instruktor bojówki, tow. Bierzyszek.

Wychowany w stepach Syberji, odznaczał się on charakterem ponurym i ogromnie egoistycznym. Siedział z nim w celi sympatyczny towarzysz Kaczyński (obecnie kierownik kilku podmiejskich spółdzielni).

Bezpośrednią przyczyną niesnasek były sprawy materialne; część siedzących, jak Bierzyszek, Sałajło i inni byli zasobni w gotówkę, to też stworzyli oni oddzielną komunę, w skład której weszli przeważnie inteligenci.

Ja, b. poseł Królikowski, Rosjanin Wasilewski i kilku innych towarzyszy-robotników stworzyliśmy skromniejszą w zasoby pieniężne komunę, ale zato komuna nasza była **powszechna**.

W więzieniu utworzyły się pod koniec mojego pobytu dwie partje". Mieliśmy dwa więzienne organy, w których pisywaliśmy. Organ inteligencji nosił nazwę rosyjską „Żygan“, pisano w nim po rosyjsku, przeważały różne pornograficzne kawały. Modny był wówczas Arcybaszew i jego „Sanin“.

Nasz organ nazywał się „Wspólne życie“, pisaliśmy zasadniczo w trzech językach: po polsku, rosyjsku i żydowsku. Poruszaliśmy zagadnienia społeczno - etyczne i dawaliśmy informacje z życia robotniczego. Na zewnątrz. wobec administracji więziennej, występowaliśmy solidarnie. Władze więzienne w sprawach ogólnych porozumiewały się przez wybranych przedstawicieli. Katorżnicy mieli swojego przedstawiciela, skazani na twierdzą — swojego.

Poza drobnymi niesnaskami żyliśmy w atmosferze nadzwyczajaj sympatycznej. Kto chciał uczyć się, mógł to czynić swobodnie. Podczas spaceru część towarzyszy, nie wyłączając esdeków, ćwiczyła się pod moją komendą. Część grała w krokieta, albo w palanta.

Wieczorami, kiedy zapach pól dochodził do naszych cel, kiedy tłumy przechodniów spacerowały po nowo-założonym parku przed naszymi oczami, każdy z nas myślał i sercem rwał się do wolności, do rozległych pól naszych i lasów... W takich chwilach szukaliśmy wyjścia z niewoli, w którą wpędziła nas przemoc!

Snuło się plany ucieczki. Z „wolnością” mieliśmy stały kontakt za pośrednictwem miłej i bardzo dzielnej pani adwokatowej Wędołowskiej, która dostarczała nam wszelkich informacji. Ona była łącznikiem, pomiędzy życiem wolnym, a nami, więźniami.

Dwukrotnie gotowaliśmy się do ucieczki. Nasi fachowcy murarze orzekli, że jeżeli zdobędziemy specjalne narzędzia do psucia muru, to w ciągu godziny wydostaniemy się podczas spaceru na podwórkę, a z podwórka w zboża i w lasy do Kurpiów łomżyńskich.

Zabraliśmy się pewnego dnia do dzieła. Otoczyliśmy kołem naszych „specjalistów”, którzy pod szczególną osłoną ciał ludzkich „robili mur” ale jakie było nasze zdziwienie, gdy stwierdziliśmy, że mur budowany był na cemencie, i pomimo dużej pracy nie udało się zrobić choćby takiej dziury, aby najszczuplejszy z nas (**Królikowski**) wydostał się na podwórkę. A ponieważ koniec spaceru zbliżał się, przeto trzeba było co prędzej zakryć dziurę w murze, pozostawiając dalszy ciąg na następny dzień. Ale nazajutrz zjawił się u nas naczelnik więzienia i oznajmił, że więcej na spacer na podwórkę kobiecie nie pójdziemy. Okazało się, że trafiliśmy, wierząc dziurę w murze, do komórek, w których przechowywano owies. Dozorca zobaczył tynk odbity i wszystko się wykryło.

Pierwsza ucieczka nie udała się. Po pewnym czasie zaczęliśmy zastanawiać się nad innym planem. Plan ten był pomyślany doskonale: mieliśmy przy pomocy ludzi z wolności wyprowadzić nocą całe więzienie w przebraniu dozorców więziennych. Cóż, kiedy w ostatniej chwili kochany tow. **Miciuryn**, eserowiec, największy siłacz pośród nas, rozmyślił się, że nieetycznie jest wiązać i usypiać dozorców i, oczywiście, cały plan misternie przygotowany i przystosowany do dwóch ludzi, którzy mieli wypiłowane zamki w swoich celach, spełził na niczem. P. Wędołowska potrafiła nawet wydobyć od obszarników łomżyńskich dla naszych celów 10 wozów, zaprzężonych w tegie konie, które miały ratować nas od pościgu.

Po tem doświadczeniu już do końca swojego pobytu w Łomży z nikim nie chciałem rozmawiać na temat ucieczki. Biedny towarzyszu Miciuryn ze swojemi wątpliwościami etycznymi w dwa lata potem umarł w Orłowskiej katordze.

W miarę przybywania nowych partyj do więzienia, wytwarzała się coraz gorętsza atmosfera; nie było dnia bez jakiejś awantury z władzą więzienną. W początkach października mieliśmy targ z naczelnikiem na temat zdejmowania kajdan po odbyciu pewnych lat, które Główny Urząd Więzienny wyznaczał. Jeden z to-

warzyszy skończył czas noszenia kajdan, naczelnik uparł się i nie chciał mu ich zdjąć, motywując obawą, że więzień może uciec. W odpowiedzi na to, urządziliśmy wielką awanturę, która polegała na tem, że umówionego dnia i godziny na znak protestu, wieczorem, po odbytym apelu, wyrzuciliśmy wszyscy przez okna kajdany.

Śmiały ten protest miał ten skutek, że kilkunastu nas władze wysłały za karę do słynnej mordowni — „Orłowskiej katorgi”.

XI

Gubernator Tatiszczew trzymał czas jakiś złośliwy swój plan w tajemnicy; po paru dniach, kiedy byliśmy przekonani, że skończyło się na włożeniu nam gorszych kajdan, okazało się, że nadzieje nasze były przedwczesne, bo oto w momencie dla nas najmniej spodziewanym, jak grom z jasnego nieba padła wiadomość, że wysyłają nas do **Orła**.

Pokolei wzywano nas do kancelarji przed oblicze naczelnika, popularnie przez nas zwanego „świniopasem” (skąd pochodził przydomek ten nie umiem powiedzieć).

Pan naczelnik z uśmiechem na ustach oznajmiał każdemu z nas, że byliśmy cały czas niezadowoleni, przeto, idąc nam na rękę, wysyłają nas do orłowskiej katorgi. „Trudno — dodał — sami tego chcieliście”. — Wiadomość ta dla nas, wtajemniczonych w warunki bytowania w poszczególnych katorgach, nie należała do przyjemnych, ale cóż było robić? Prosić? Za nic!!

Z miną butną odparłem: „Bądź pan spokojny i w Orle zrobimy porządek”!

Kiedym to mówił, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo trudno było przechwałkę tę sprawdzić w życie. Ale o tem później.

W drugiej połowie października, w czwartek, od samego rana na naszym korytarzu panował ruch bardzo ożywiony. Ci wszyscy — a było nas osiemnastu, którzy szli na katorgę, gorączkowo przygotowywali się do drogi.

Zrana wydano nam nowe odzienia, jakie otrzymują katorżnicy, wysyłani na Syberję.

Skrzętanie zaszywaliśmy w różnych skrytkach najmilsze dla nas przedmioty, jeden liścik od narzeczonej, inny znów złote 5 i 10 rublówki.

Bardziej odważni chowali skrzętnie specjalne piłki do pitowania kajdan.

Pieniądze przechowywaliśmy w cukrze: w kawałku cukru ro-

biło się dziurkę, wkładało się w nią pieniądze, potem nagrzewano cukier, który topniał, i w ten sposób zaklejano dziurę, potem przysypywano mączką i nikt nie potrafił odszukać schowanych pieniędzy.

Podano nam wreszcie obiad, którego nikt nie mógł ze wzruszenia jeść.

W miarę przybliżania się godziny odjazdu, każdy z nas ogarniał okiem wszystko, co tylko widział, jakgdyby chciał zabrać ze sobą. Towarzysze, którzy pozostawali, byli przygnębieni, nikt nie żartował, jakiś ponury smutek zapanował nad całym więzieniem. Nawet ci, co uchodzili za moich przeciwników, z troską na twarzy podchodzili do mnie, cichą uprzejmnie mi ostatnie minuty.

O godzinie pierwszej wezwano nas do zabierania rzeczy i zejścia na dół do kancelarii.

Chwila niezwykle podniosła. Kolejno żegnamy się długim, długim uściskiem, oraz życzeniami zobaczenia się na **gruzach caratu!**

Ten i ów wyraża pesymistycznie wątpliwość, czy rychło spełni się nasze życzenie.

„Wychodzić, wychodzić!” — dochodzi głos zdołu.

Wyszliśmy wszyscy na korytarz w długich siermięgach, z dwoma tuzami na plecach, w ręku worek z rzeczami.

Przed samem odejściem, kiedy wszyscy byli gotowi do zejścia z 4 piętra — głosem spokojnym zapytałem, czy wszyscy są. „Tak” brzmiała odpowiedź. — „Towarzysze! — rzekłem — wysyłają nas na karę, podnieśmy dumnie nasze głowy i powiedzmy sobie, że żadna przemoc nie zdolna jest złamać naszych hardych serc, przyszłość do nas należy!”

„Na prawo zwrot, — rozległ się głos — krokiem marsz!”

Dzyń, dzyń, dzyń — dzwonią nasze kajdany, w ślad za nami zgóry płynie pieśń buntu, wyrrywająca się z piersi tych, co pozostają: „Precz z tyranami, precz z zdziercami, niech zginie stary, podły świat! My nowe życie stworzymy sami i nowy zaprowadzimy ład!”

Na dole wracająca ze spaceru partja tych, co odsiadują twierdzę, pochyla przed nami głowy, rzucając okrzyk: „Niech żyje rewolucja! Precz z krwawym caratem!”

Wolno, krok za krokiem, opuszczamy dolny korytarz, zdrażając do kancelarii więziennej.

Blade, zdenerwowane twarze żołnierzy, przystępujących do rewizji: na rozkaz dowódcy zaczynają od poszczególnych oględzin kajdan, szukają także pieniędzy.

Napróżno, schowaliśmy wszystko dobrze.

Rewizja i formalności z odbioru partji trwają dość długo, wychodzimy na dziedziniec, skąd mają nas wyprowadzić na ulicę. We wszystkich oknach twarze towarzyszek, i pod oknem celi, w której siedziały towarzyszki Domicella Rotte i Zielińska, formują naszą partję — katorżnicy na przodzie. Każda z niewiast co może daje nam na drogę! Wreszcie o godzinie 4 po południu stoimy wszyscy gotowi. Raz jeszcze dowódca konwoju liczy: raz, dwa, trzy i t. d. „Na stanowiska! Wyjąć szable!” — brzmi rozkaz. Otwierają bramę więzienia, rzucam okiem na zapłakane twarze towarzyszek, nagle potężny śpiew ze wszystkich cel:

„Hurra, zerwiemy z carów korony!”

„Baczność — brzmi rozkaz dowódcy konwoju — krokiem marsz” — i poszliśmy w nieznana dal...

Zachodzące słońce swoim purpurowym blaskiem oświeśla nas, młodych wygnańców, którzy dumnych swoich głów nie chcieli i nie potrafili kornie zginać przed zgrają carskich siepaczy.

Cisza grobowa w szeregach katorżników, ukradkiem rzucam okiem na sąsiadów, twarze skupione, oczy jakieś dziwnie wielkie, patrzą gdzieś w dal, to znów pieszczotliwie oglądają naszą ukochaną ziemię, pola i lasy, których może nie zobaczą. A gdy uszliśmy około 6 kilometrów, gdy zmrok pokrywał całunem ziemię, ze środka cicho, tęsknie popłynęła pieśń, zaintonowana przez towarzysza Wołkowa, smutna pieśń Niekrasowa: „Pokaż mi taki zakątek, gdzieby rosyjski chłop nie cierpiał”.

Nagle cała partja podchwyciła słowa bezgranicznego smutku i cierpienia tej pieśni wielkiego poety ludowego, które, przechodząc z ust do ust i po przez gorące serca nasze, zlały się w jeden strójny chór. Patrząc i oczom swoim nie wierząc: śpiewają także żołnierze! Cóż to za urok ma ta beska w swojej prostocie, a tak piękna pieśń.

Podchodzimy do lasu, dowódca ocknął się, słyszymy głos jego, podobny do zgrzytu: „Schować szable, wyjąć rewolwery, baczność!...”

„Czerwony Bór”. Siadamy do zakratowanego wagonu. Żołnierze przynoszą w dużych czajnikach gorącą wodę na herbatę. Rozłożyliśmy się, wybrany gospodarz dzieli porcje. Spożywamy wieczerzę w niemem milczeniu; dziwne, nikt ani słowa nie wyrzekł, każdy zajęty własnymi myślami, które obracają się koło jednego pytania: czy powrócimy?

Obok mnie siedzi młodzieńcki towarzysz Konrad z Zawiercia, który od więzienia do więzienia idzie ze mną razem.

Oparłem głowę o okno, wtuliłem się sam w siebie, przyszło mi do głowy, czy towarzyszka „Ola” (p. Piłsudska) powiadomiła moją kochaną matkę. Ciężko, że nawet nie mogę z nimi korespondować, nie mogłem przyznać się do własnego nazwiska, bo zapłaciłbym za to życiem. A zresztą nie chciałem psom carskim robić przyjemności, że znaleźli mnie!

Rano oczekiwał nas w Warszawie oddział wojska z litewskiego pułku. Chłopi, jak dęby, otoczyli nas wspólnie z naszym konwojem i w takiej asyście wprowadzono nas na „zborniak” (przesyłkowe więzienie).

Trzy dni czekaliśmy na skompletowanie naszej partji, która miała iść w stronę Moskwy.

Wreszcie czas odjazdu zbliżył się, taka sama rewizja, tylko w nocy. Poczem duża, bardzo duża partja katorżników przez ulicę Warszawę szła w stronę dworca wschoźnego.

Na dworcu ulokowano nas w dwóch wagonach. W naszym wagonie jechała towarzyszka „Jaga” — Glicenberżanka, skazana na osiedlenie. Kobiętom w podróży etapem było najgorzej. Iie biedaczki musiały nasłuchiwać się różnych przykrych słów. W naszym otoczeniu staraliśmy się robić wszystko, żeby kobieta miała znośne warunki podróży.

Z pół godziny trwało usadawianie się w wagonach, a potem oczekiwanie odjazdu.

Słyszymy, iż zwolna pociąg rusza — zadrgało coś wewnątrz nas, opuszczamy Warszawę, gnamy na wschód, czy czy nasze oglądać będą Wisłę jeszcze raz w życiu?

Pociąg nasz zatrzymał się dłużej w Siedlcach, gdzie sześciu towarzyszy z Łodzi przyłączyło się do naszej partji, później główny postój w Brześciu, Mińsku i w Smoleńsku. W miarę oddalania się na wschód, coraz boleśniej wątpliwości targają nami.

W Smoleńsku wysadzili nas, poprowadzili do gubernjalnego więzienia na korytarz „przesyłkowy”.

Bvliśmy śmiertelnie znużeni podróżą, gdzie kto mógł rozlokował się i dosłownie w pół godziny wszyscy spali, jak zabici. Jak długo tak spaliśmy — nie wiem, dość, że obudzeni zostaliśmy niesamowitem zjawiskiem. Chmara pluskiew obsiadła nasze ciała...

Jeden za drugim budził się z przekleństwem na ustach. Po zorientowaniu się, doszliśmy do wniosku, że należy ustawić kolej-

ny dyżur po godzinie, według zegara, który ułokowany był na korytarzu.

Stojący na pikiecie z lampą w rękę odpędzał zbliżające się szerokim frontem po ścianie pluskwy. Pluskwy w odpowiedzi na nasze przeszkody, ruszyły na sufit, skąd spuszczały się na nas zgóry. Nie było rady, musieliśmy przerwać sen, ulegając zbiorowemu natarciu pluskiew. Na drugi dzień zażądaliśmy innej celi; z dość dużą awanturą udało nam się ją dostać. Spędziliśmy w niej 7 dni. Po tygodniu transportem odwieziono nas do Orła.

Po drodze opowiadali nam towarzysze o niesłychanem znęcaniu się nad więźniami, byliśmy poważnie zaniepokojeni opowiadaniem towarzyszy rosyjskich o katordze. Do Orła przyjechaliśmy około południa, czasowo ułokowano nas w gubernjalnem więzieniu. Dziwne miasto, pełno popów i policji, ludność, wrogo odnosząca się do więźniów, a traktująca nas jako wrogów nie tylko cara, ale samej siebie.

XII

Po porannym apelu 6 listopada władza więzienna wezwała nas do zbierania rzeczy, albowiem za chwilę zjawią się żołnierze, którzy mają nas odprowadzić do „katorgi”. W ciągu kilkunastu godzin, które spędziliśmy w gubernjalnem więzieniu, otworzyły nam się oczy na faktyczny stan, jaki panuje „w orłowskiej katordze”. Nie powiem, żeby wiadomość ta wpłynęła na nas uspakajająco. O nie! Uszeregowano nas i o godzinie 9-ej rano wyruszyliśmy do „katorgi”, odległej o kilkaset metrów od więzienia gubernjalnego.

Po przejściu 100 metrów, oczom naszym ukazał się wielki, biały gmach, pokryty malowaną na zielono blachą. Z bijącym sercem podchodziliśmy do miejsca, gdzie mieliśmy spędzać całe lata!

Mocne uderzenie w furtkę więzienną i niebawem wrota otwarły się przed nami, o! jakże „szeroko” przy wchodzeniu do więzienia!

Wchodzimy parami, liczeni przez dowódcę konwoju, a gdy weszła ostatnia para, dozorca z łoskotem zamknął żelazną bramę.

Tak, jak szliśmy parami, wyszeregowano nas twarzą do kancelarii, skąd miał zjawić się dyżurny pomocnik naczelnika więzienia. Naprzeciwko nas stali żołnierze.

Po dziesięciu minutach wyszedł do nas młody, przystojny brunecik — „To dyżurny pomocnik Aninkow” — informuje mnie, stojący obok mnie, tow. Jakowlew z Brjanska. Za nim wyszedł starszy Kozlonkin i kilku dozorców.

P. Aninkow przyjmuje partję od konwoju, a dozorczy sprawdzają, czy rzeczy „kazienne” mamy w całości. Wreszcie wywoływanie poszczególnych więźniów. **Aninkow** ogląda każdego z osobna, robiąc pod jego adresem różne złośliwe uwagi. Po kilku minutach, do „pomocy” Aninkowowi przyszedł hr. Songojło, starszy pan, również bardzo przystojny brunet. Stał nieruchomo, aż do samego końca, wybałuszwszy na nas swoje duże ślepiska.

Po skończeniu „procedury” z przyjęciem, Aninkow pokwitował odbiór naszej partji, tak, jak się kwituje odbiór listu poleconego. Dowódca konwoju odsalutował, poczem przejął nas znany w katordze kat, **Kozlonkin**, starszy dozorca. Tow. **Jakowlew**, idąc obok, szepnął mi: „Prowadzą nas do łaźni”.

Istotnie, po przejściu podwórka, poprowadzono nas do niewielkiego budynku, gdzie partję naszą rozdzielono na dwie części, jedną połowę zabrano do łaźni, a druga pozostała, żeby przyglądać się, jak będą bić tamtych.

Niedługo kazano nam czekać na widowisko, jakie nam zgutowano.

Widzę: stoją uszeregowani z dwu stron dozorczy, a pośrodku przelatują z krzykiem zupełnie nadzy towarzysze, których biją. Mój informator, który przechodził już tę piekielną mękę, szeptem informuje: — „To pijani dozorczy biją”.

Wyteżam siły woli, żeby nie załamać się duchowo.

Serce z łoskotem tłucze się, a myśli krążą dokoła jednego pytania: cóż to za potworna siła odebrała nam naszą odwagę. Biją w naszych oczach, a my nic...

„Następnii, wchodzić!” — słyszę zdyszany głos **Kozlonkina**. Rzuciłem okiem na jego twarz, — jakże była wstrętna, oczy krwią zalane; czuło się, że ten człowiek pała jakąś dziką zemstą do nas.

Zaledwie zdążyliśmy wejść, gdy ten sam **Kozlonkin** wrzasnął: „Rozebrać się do naga!”

Szybko zdejmujemy odzienie, trudniej zdejmować spodnie, bo przeszkadzają kajdany. Trwało to niewiele, niż cztery minuty, a gdy wszyscy byli rozebrani, Aninkow rozpoczął wywoływać kolejno każdego z nas. Gdy przyszła kolej na mnie, szybko odczytał treść wyroku: „Skazanych na karę śmierci za należenie do frakcji rewolucyjnej Polskiej Partji Socjalistycznej, która stawia sobie za cel oderwanie Królestwa Polskiego od Rosji drogą zbrojnego powstania; kara śmierci zmieniona na 15 lat katorgi — przy-ją-ć!” — co oznaczało, że każdy dozorca, przechodzącego przez szpaler, ma uderzyć bykow-

cem. Człowiek, jak szalony, rzucał się od jednego do drugiego, a ci bili bykowcami, gdzie się dało.

Po takim przyjęciu, wpadłem jak nieprzytomny do sąsiedniej ubikacji.

Tutaj czuwał Kozlonkin, który dzikim głosem przyprowadzał do przytomności rozkazem: — „Ubieraj się!”

Na jednej łupie leżały przygotowane dla nas ubrania więzienne, a na drugiej, w takim samym stanie, tak zwane „koty”, pantofle. Z odrazą nakładałem na siebie brudne, śmierdzące ubranie i także same pantofle, tylko bez podeszew.

Wszystko, cośmy przechowali w ubraniach w Łomży, musieliśmy pozostawić, gdyż ubrania te zabrano do gubernjalnego więzienia.

Po tej wstępnej operacji, z której człowiek wychodził, jak obłąkany, przeprowadzono nas nawpół gołych, trzęsących się z chłodu i wyczerpania moralnego, do gmachu, gdzie były pojedyncze cele.

Tutaj przyjęło nas wielkie chłopisko, o nadzwyczajnej tuszy, starszy dozorca **Zagorodnyj**. Każdemu wypisał na ubraniu numer celi, do której przeznaczał, poczem ostrzyżono nas maszynką na zero i rozlokowano po celach.

W parę minut po wsadzeniu mnie do celi, zjawił się u mnie klucznik więzienny, który wyjaśnił mi, jak mam czyścić celę i w jaki sposób mam otwierać okno.

Z wyjaśnień tych wynikało, iż okna otwierać nie mogę według swojego uznania, lecz na rozkaz, podawany wszystkim celom za pomocą dzwonka. Że podłogi asfaltowe muszą specjalnymi sukienkami szmatami czyścić tak, żeby miały lakierowy połysk, dalej wskazał misę, dzbanek i kubek miedziany, naczynia te muszą być podobne do złota.

Po wyjściu dozorcę śmiertelnie znużony usiadłem na specjalnej ławeczce, wmurowanej w ścianę.

Więc to jest katorga, pomyślałem, i w tej oto katordze mam 15 lat siedzieć w takich warunkach? Śmiertelny chłód przeszedł po całym ciele i jakaś dziwna apatja opanowała mnie. Siedziałem nieruchomo dość długo, utkwivszy oczy w małe okienko. Szare chmury przesunęły się po niebie; tam, na wolności, za drzwiami słyszę głosy ludzkie i cichy stuk kajdan.

Na tym samym korytarzu ulokowano kilku towarzyszy, pomiędzy nimi tow. Konrada. Myślałem tylko o nim, był to najmłodszy. Jak ten chłopiec przeniósł to bicie i upokarzanie więźniów, jak tylko przychodzi do katorgi?

Tak rozmyślając, usłyszałem otwieranie okienek w celach. Był to obiad, składający się ze „szczy” (barszcz), kawałka mięsa i trochę kaszy gryczanej. W dwie godziny po obiedzie dano nam wody na herbatę.

O godzinie 6-ej kolacja — trochę rozgotowanej kaszy gryczanej na wodzie! Po kolacji apel, a potem koniec dnia pierwszego w katordze!

XIII

Pierwsza noc uwydatniła przede mną z całą jaskrawością potworne warunki w katordze. Zgięty w kabłak, okryty łachmanami leżałem, nie mogąc zasnąć, na łóżku naciągniętym brezentem.

Gdzieś, na dole, wśród śmiertelnej ciszy nocnej, wybijał zegar godziny za godzinami.

Wsluchując się w ciszę nocy więziennej, majaczyłem jak opętany o przeszłości, przed oczami mej duszy stawały jak żywe obrazy minionych dni.

W trakcie tych rozmyślań, gdzieś, w sąsiedniej celi, słyszę jakiś straszny jęk. Zimny pot wystąpił mi na czoło. Słucham: „Co chcecie ode mnie, kaci, za co mnie bijecie, Kola ratuj mnie, morduj! Ratunku, ludzie”.

Dozorca, usłyszawszy ten krzyk, biegiem przeleciał do celi, skąd wydobywał się głos przez sen mówiącego, zaczął walić w drzwi, więzień obudził się. Słyszę — „Ja ci pokażę taki synu jutro rano, poczekaj...”

Piąta godzina! Słyszę dzwonek, potem dziwny ruch w celach, podobny do szmeru pszczoł w ulu. To więźniowie wstają.

Baczność! To starszy dozorca zdaje raport dyżurnemu pomocnikowi, który zjawił się do przeprowadzenia apelu po nocy. Sprawdzanie odbywało się szybko, dozorca szedł na przódzie, otwierał okienka, przez które podawano jedzenie, za nim szedł starszy, liczący więźniów, dyżurny pomocnik zaglądał, czy więzień stoi na baczność.

Po dokonanych apelu na korytarzu zawrzało, jak w ulu. Dozorcy otwierają cele, a więźniowie biegiem pędzą z kubłami, szybko wylewając nieczystości, rzucają się jak szaleni do umywalni, ale cóż? Zaledwie człowiek zdążył dwa razy opłukać ręce, a już dołatuje głos dozorczy: „Czego tak długo siedzisz? — wychodź”. Kto ośmielił się nie posłuchać rozkazu niezwłocznie, to na powrotnej

drodze był bity kluciami. System bicia wprowadzony był, jako metoda trzymania w ryzach więźniów. W pół godziny po tej operacji rozdawano chleb, a zaraz po tem wodę na herbatę

Po śniadaniu należało sprzątnąć cele według otrzymanych wskazówek, w czasie sprzątania, był na pół godziny otwarty lufcik.

O godzinie dziewiątej obchodził cele starszy dozorca Zagorodnyj, kontrolując, czy je porządnie sprzątnięto.

Przy wchodzeniu do celi klucznik zrywał na baczność więźnia. Starszy po wejściu do celi witał się słowem: „Zdarowo” — należało odpowiedzieć: — „Zdrawia żelaju, gospodin starszy, (życzę zdrowia, panie starszy). Po „przywitaniu” zaczęły się oględziny celi, w trakcie których trzeba było stać na baczność przy stoliku twarzą do drzwi. Jeżeli starszy zauważył kurz albo źle wyczyszczoną podłogę, podchodził bez ceremonji i bił po twarzy. A po wyjściu starszego bił oddziałowy!

W celach, gdzie siedzieli Sartowie, Kurdy lub Persowie, odbywały się przy takich oględzinach istne orgje. Bito tych nieszczęśliwych ludzi w straszliwy sposób, bardzo często za to jedynie, że ani słowa nie rozumieli po rosyjsku. Zdarzały się też wypadki komiczne. Dozorca przez kilka dni uczy jakiegoś Sarta, jak ma odpowiadać na przywitanie „władzy”. Wydaje mu się, że już go „nauczył”, zaprasza starszego dla skontrolowania swoich pedagogicznych zdolności. Dozorca raptownie otwiera drzwi z okrzykiem baczność! Starszy wtacza się do celi nieszczęsnego Sarta ze słowami — „Zdarowo”, Sart zaskoczony znieenacka ze strachu odpowiada: „Zdarowo, zdarowo gospodin zielony”.

— „Co takiego? — dzikim głosem wrzeszczy starszy, — ja jestem zielony? A masz, a masz!” Sypią się uderzenia po twarzy. Dzikie i płacz dochodzi do naszych cel.

Ale nie lepiej obchodzono się i z tymi, którzy umieli po rosyjsku. Dwie godziny ranne były dla nas torturą. W chwilach bicia współtowarzyszy po celach, człowiek jak nieprzytomny siedział, czekając swojej kolei...

Przez pierwsze dwa tygodnie odbywaliśmy tak zwany okres poprawczy, w ciągu tego czasu pozbawieni byliśmy spaceru, książek, prawa wypisywania produktów żywnościowych i t. p. Dla ludzi palących pierwsze dwa tygodnie były piekielną męką.

Po dwóch tygodniach wyprowadzono nas na spacer, trwający piętnaście minut! W czasie spaceru trzeba było chodzić po wojskowemu, tych, którzy nie potrafili chodzić na komendę, bito w naszych

oczach, w czasie, kiedy jeden dozorca bił więźnia, inni w szatański sposób ryczeli ze śmiechu.

Kiedy piszę o tem po tylu latach, jeszcze zimny dreszcz przechodzi po mojem ciele.

Ludzie zdrowi po kilku tygodniach tracili zmysły, zdarzały się bardzo często wypadki oblewania się naftą i podpalania żywcem, byle skrócić mękę moralną i fizyczną. Krew w żyłach krzepnie, gdy wspomnę o śmierci towarzysza Demidowa, który rzucił się z czwartego piętra, mając zakute ręce i nogi. Ze złamaną ręką i nogą żył jeszcze dwa tygodnie i zmarł wśród straszliwych katuszy!...

Stosunek administracji do więźniów nie był jednakowy, najgorzej obchodzono się z Żydami, nie było takiego łajdactwa, któregooby wobec nich nie stosowano.

Znałem kilku bundowców, niewinnie osądzonych za zamach na rewirowego. Wśród nich był mały, nadzwyczajnie delikatny chłopiec — Abram (nazwiska nie pamiętam); kiedy bito tego chłopca w oczach naszych, a on nieborak wiał się z bólu, wówczas zakrywałem oczy, żeby nie widzieć tego, ale napróżno, głos jego, głos męczonogo dziecka dziś jeszcze słyszę i do śmierci nie zapomnę!...

Nielepszy był stosunek administracji więziennej do polskich rewolucjonistów. Przy każdej sposobności rzucono nam w twarz obelgi, bito i znęcano się nad nami.

Wogóle należy stwierdzić, że kryminaliści cieszyli się większą sympatją u administracji, niż polityczni.

Orgje bicia i katowania więźniów odbywały się w biały dzień, głosy mordowanych ludzi dostawały się za mury więzienia, a mimo to nadzór prokuratorski przyglądał się obojętnie temu barbarzyństwu!...

Odnosiło się wrażenie, że na rozkaz centralnych władz, naczelnik więzienia **Macewicz** (podobno Polak) wykonywał masową egzekucję nad tymi, których sądy carskie nie zdażyły pomordować!.. Często słyszało się, iż za pobicie na śmierć, dozorca dostają medale i 3-rublowe podwyżki pensji!

Echa gwałtów, jakie stosowano do nas, przedostawały się do opinii publicznej, za granicę państwa carów. Studenci uniwersytetów Wiednia, Zurychu, Paryża, Krakowa, Lwowa, urządzali protesty z powodu głośnej mordowni w Orle.

Niewymowna wściekłość ogarnia, gdy uprzytomnię sobie, że podobnym panom, jak **Macewicz**, skarb odrodzonej Polski udziela emerytury. Bardzo niedawno odbył się w Łodzi proces jednego

z tych, którzy w Tobolskiej katordze mordowali politycznych więźniów. Pan ten otrzymuje emeryturę, zato, że był wiernym sługą cara, pomagał carowi mordować więźniów politycznych!

Rumieniec wstydu pali, gdy pomyślę, że rodziny byłych więźniów politycznych, którzy przedwcześnie zgaśli, przymierają głodem wtedy, gdy różni szubrawcy, zrzuciwszy mundury moskiewskie, są dziś „patriotami” i otrzymują ze Skarbu Państwa świadczenia!

Należy powołać specjalny trybunał, który będzie miał za zadanie czynić sprawiedliwość w stosunku do tych, którzy wysługiwali się carom!

Historja musi dać satysfakcję ceniom Mireckich, Okrzejów, Szulmanów, Izdebskich i wielu innych rewolucyjnych żołnierzy polskich, którzy zginęli w obronie wolności i godności ludu polskiego.

XIV

Po miesiącu wezwano mnie i innych do kancelarii przed oblicze jednego z pomocników naczelnika więzienia, który zarządzał warsztatami więziennymi. P. pomocnik pokolei rozpytywał każdego z nas o nasz zawód na wolności.

Z liczby trzydziestu nie znalazło się ani jednego fachowca warsztatów tkackich, a pomimo to pan pomocnik postanowił, że z nas „zrobi” tkaczy. Po tej rozmowie wróciliśmy do cel po nasze rzeczy i zostaliśmy przeniesieni do „głównego gmachu”, gdzie w ogólnych celach na czterech piętrach siedziało zgórą ośmset katorżników. Mnie posadzono na II piętrze do celi Nr. 2. W celi tej siedziało z początku 33 więźniów, a później 48. Większość z naszej celi pracowała w tkalni. Nauka sztuki tkackiej trwała dla mnie osobiście sześć dni. Siódmego dnia otrzymałem warsztat na własny „rachunek”. Tkałem ręcznie na prymitywnym warsztacie pedałowym szare płótno na bieliznę dla więźniów. Z początku szło mi to dość powoli, ale po miesiącu tkałem już po 20 arszynów dziennie.

Zarabiałem tygodniowo 28 kopiejek, z czego 10 proc. pozostawiało, jako żelazny kapitał w kasie więziennej, a za resztę mogłem sobie kupić coś do jedzenia.

O zarobku nie można było marzyć. Jakkolwiek sama praca była ciężka ze względu na kajdany w których chodziłem, to jednak w warsztatach czas przechodził prędzej, a dozorca Trafinow, specjalista w sztuce tkackiej, był przyzwoitym człowiekiem, chociaż bardzo wymagającym. Chętnie chodziłem do pracy. Uciążliwa była dwukrotna rewizja, jakiej podlegaliśmy w południe i wieczorem.

Przy rewizjach nie cheszło się bez bicia za różne drobiazgi. Po takich scenach zastanawiali się towarzysze — a byli naiwni — jak trzeba postępować, żeby uniknąć bicia. Zwykle znajdował się jakiś dobroduszny „chochoł”, który pouczał nas, w jaki sposób możemy uniknąć bicia. Niestety, nauki te były krótkotrwałe, często po godzinie niemal na „nauczyciela”, jak grom z jasnego nieba, spadało bicie akurat z tego powodu, który nas miał od bicia ochronić.

Podczas długoletniego przebywania w więzieniu, stwierdziłem wśród więźniów ogromną łatwowierność, dochodzącą do naiwności. Często jak dzieci stwarzali sobie najfantastyczniejszą iluzję, byle uciec od straszliwej rzeczywistości.

Wieczorem czytałem z zamiłowaniem książki, oczywiście rosyjskie. Dzięki czytaniu nauczyłem się zupełnie swobodnie mówić po rosyjsku. Bibliotekę mieliśmy wspaniałą. W celi, w której siedziałem, było kilku towarzyszy Rosjan i Gruzinów. Większość była kryminalistów. Wieczorami po apelu dwie godziny wolno było cicho rozmawiać. Często bardzo lubiłem rozmawiać z towarzyszami gruzińskimi. Przeważnie jednak czytałem.

Przybliżały się święta Bożego Narodzenia, obchodzone w kator-dze dość uroczystie. Uroczystość ta polegała na sutem jedzeniu i odświeżnem ubraniu dozorców, którzy zawieszali medale i łuskali „siemiaczki” (pestki). W czasie świąt rzadko zdarzały się wypadki bicia.

W katordze orłowskiej pracowało bardzo wielu więźniów. Oprócz tkalni była duża stolarnia, warsztaty mechaniczne, kuźnia, w której produkowano w dużych ilościach, rękami więźniów, kajdany. Charakterystyczne jest, że większość pracujących w kuźni byli anarchiści z południa Rosji. Na temat fabrykacji kajdan wśród więźniów politycznych odbywały się bardzo ostre tarcia. Jeżeli chodzi o mnie, to nie ukrywałem swojego niezadowolenia z powodu robienia kajdan przez więźniów politycznych, dochodziło nawet do ostrych scysyj pomiędzy mną a towarzyszami.

Sympatyczne stosunki panowały w introligatorni, gdzie pracowali przeważnie polityczni. Między innym pracował tam tow. Morawski, obecny prezes Związku Spożywców.

Ogromne były warsztaty krawieckie z dużą ilością maszyn, pędzonych elektrycznością, w warsztatach tych pracowało kilku naszych towarzyszy.

Najwstrętniejsza była praca przy robieniu paków. Stało kilka-naście maszyn, poruszanych siłą ręczną, wśród których ludzie pracowali jak za mgłą. Kurz był wprost nieprawdopodobny. Warsztaty te

nazywano fabryką suchot. Kierownikiem tych robót był dozorca Wietrów, małego wzrostu, zły, jak głodny pies. Pracowali tam przeważnie Sartowie, Żydzi i różne plemiona kaukaskie, z innych narodowości tylko za karę zmuszano do pracy przy pakulach.

Życie w celi było dość przykre dla mnie ze względu na różne świństewka, jakie robili kryminaliści. Co do prac w celi, to ciężko było nosić w skrzyniach chleb dla całego oddziału; naturalnie noszenie to odbywało się kolejno przez wszystkie cele, ale w celach również z wielkim trudem zaprowadzono kolejno noszenie. Mycie podłóg było również ciężkie, szczególnie w dzień roboczy, gdyż wszystkiego było pół godziny na wypicie herbaty i wymycie podłogi.

Pod względem higienicznym było złe, brud był ogromny, do łaźni chodziliśmy raz na miesiąc. Słomę w poduszkach zmieniano dwa razy do roku, najprzykrejsze było to, że trzeba było spać na brudnej poduszce. Wszy było sporo.

Raz na miesiąc mogliśmy pisać listy, pisywałem listy Sartom, którzy lubili mnie bardzo. W rozmowach, gładząc swoje duże brody, twierdzili, że „Polak jakszy czelowiek” — (Polak dobry człowiek), a „uruss jaman czelowiek” — (Rosjanin zły człowiek).

Mniej więcej raz na sześć tygodni przyjeżdżał do katorgi miejscowy ksiądz, dla którego w celi urządzano specjalną kaplicę, gdzie odprawiał nabożeństwo. Chętnie chodziliśmy na nabożeństwo bo tam mogliśmy zobaczyć się wzajemnie.

Z przykrością muszę stwierdzić, że proboszcz miejscowy był przez nas nielubiany. Traktował nas nie jako więźniów politycznych, lecz jako ludzi, którzy zbłądzili, występując przeciwko prawdziwej władzy. Po drugie nie potrafił mówić, a wysilał się na „mądre” kazania, zaczynał górnolotnie o różnych kwestjach naukowych, a kończył na głupstwach. Wymowy nie miał żadnej. Zdarzało się jednak, że raz na kwartał zjawiał się u nas jakiś młody ksiądz, który z wilczym biletem jeździł do parafjan katolickich w Rosji. W tych wypadkach przeżywaliśmy prawdziwą radość. Zwykle taki człowiek informował nas, naturalnie w sposób oględny, o wszystkim. Tych księży jak najmilej wspominam ja i inni towarzysze.

Pomoc lekarska była zła, lekarzem więziennym był p. Rychliński, łądak z pod ciemnej gwiazdy, wiedzieliśmy że jest Polakiem, a gdy który z nas zagadnął go po polsku, to wymyślał od ostatnich.

Na sumieniu jego spoczywa nie jedna zamordowana ofiara. 95 procent zmarłych to były ofiary bicia, ale Rychliński nie miał odwagi nazwać zbrodni po imieniu, wręcz przeciwnie — autorytetem lekarza pokrywał dokonywane zbrodnie.

Śmiertelność w katordze była ogromna. Wystarczy powiedzieć, że z partji naszej **połowa zmarła w ciągu 5 lat!!**

W półtora roku po przybyciu, zachorowałem na zapalenie płuc, miałem przeto możność zbliżka obserwować zachowanie się Rychlińskiego. Traktował chorych tak samo brutalnie jak cała administracja więzienna, bardzo często umierali ludzie w kajdanach, a miał nie ograniczone prawo decyzji, by choremu na czas choroby zdjęto kajdany. Osobiście prosiłem go o to, gdy leżałem w kajdanach dwa tygodnie przy temperaturze 39—40 stopni gorączki, wyczerpany ogromnie, a jednak odmówił pozwolenia zdjęcia kajdan. Chorzy, słniąc się, musieli na baczność stawać, gdy pan lekarz wchodził do sali szpitalnej.

Ciekawy jestem, gdzie ten pan znajduje się obecnie. Zaraz po rewolucji uciekł, a szkoda...

Po chorobie nie mogłem pracować, szukałem okazji, żeby zrobić jakąś awanturę, za którą posadzą mnie do pojedynczej celi. Niebawem okazja się nadarzyła z powodu chleba, który wydali ze stęchłej maki. Ponieważ nie przyjąłem chleba, przeniesiono mnie do „pojedynek” w końcu 1909 roku z uwagą — „że sprawowanie moje jest złe”.

XV

Znów jestem w pojedynczej celi. Po przespanej nocy wsłuchiwałem się uważnie w to, co dzieje się za drzwiami mojej celi. Wczasy wynoszenia kubłów nic się nie zmieniło, tak samo naoslep pędzą ludzie, zakuci w łańcuchy, tak samo dozorca krzyczy i bije kluczami!

To samo obchodzenie cel przez starszego, te same wrzaski bitych ludzi. Więc to na dłuższy czas wprowadzono ten barbarzyński system, — myślałem. Czyż w takich warunkach zdołam przesiąść 15 lat?!

W trakcie tych rozmyślań, zgrzyt zamka i słowa komendy — baczność! Sapiąc, wtoczył się do mojej celi wraz z dyżurnym pomocnikiem starszy dozorca.

Stałem na baczność, „władza”, nie witając się ze mną przez usta pana hr. Songajłło zawiadomiła mnie, że pozbawiony zostałem w ciągu miesiąca spaceru i książek.

Kiedy pomocnik był na progu, nagle zapytałem: Za co? **Songajłło** przez ramię rzucił starszemu: „Powiedz za co!” a sam poszedł dalej; drzwi przymknięto, **Zagorodnyj** podszedł do mnie i uderzył mnie pięścią w piersi, z taką siłą, że omal nie zwałem się z nóg.

Drugą ręką podtrzymał mnie, ze słowami: „Stój!” to jeszcze nie

wszystko!" — i podniósł rękę w celu uderzenia mnie, odskoczyłem w bok. — „A! — to ty taki ptaszek, poczekaj!” — wykrztusił ze złością i wyszedł!...

W ciągu pół godziny zdecydowałem, że trzeba bronić swojej godności.

Mniej więcej po czterdziestu pięciu minutach dozorca otworzył celę i zawiadomił, że mam iść na 14 dni do karceru. W pierwszej chwili błysnęła myśl, żeby oprzeć się, ale z myśli tej zrezygnowałem i, wzięwszy czapkę, udałem się do karceru. Po odsiedzeniu dwóch tygodni, otrzymałem „grypsankę” od tow. **Korotkow**ą, który pisze mi, że czas najwyższy pomyśleć o obronie godności naszej; proponuje, jako protest głodówkę.

Zaczęła się zawiązywać korepondencja przy pomocy dwóch „korytarzowych” — Gruzinów, pomiędzy politycznymi.

Miesiąc czasu upłynął, po miesiącu zostałem wypuszczony na spacer, ale nie z ogólną partją, tylko wyprowadzono nas czterech. Spacerowaliśmy nie parami, lecz jeden za drugim, w odległości 10 kroków jeden od drugiego.

W dwa dni po spacerze, poszliśmy do łaźni, gdzie otrzymałem informacje, że w warsztatach „coś” się szykuje.

Nie przypisywałem temu żadnego znaczenia, gdyż jeszcze podczas mojego pobytu w ogólnej celi w górnym gmachu rozmawiali ze mną „maksymaliści” na ten temat, chwając się, że lađa dzień nastąpi wybuch.

Upłynęło od tego czasu trzy miesiące, a wybuchu nie było. Za to coraz większą liczbę niezadowolonych przeprowadzono z ogólnych cel do pojedynków. Po długich tarapatach postanowiono jednak, że głodówkę rozpoczniemy 1-szego maja. Sygnał do rozpoczęcia głodówki miał dać **Korotkow** przez uderzenie dzbankiem miedzianym w drzwi.

Noc z ostatniego kwietnia na pierwszego maja spałem źle, instynktem czułem, że od tej głodówki zależeć będzie przyszłość wszystkich, trapiła mnie zarazem wątpliwość, czy aby wszyscy polityczni w pojedynkach rozpoczną głodówkę?

Godzina czwarta wybiła na zegarze, w piętnaście minut potem rozległ się dzwonek do wstawania (latem budzono wcześniej). Wynoszenie kubłów zakończyło się i rozpoczęło się wydawanie chleba.

Czekam z napięciem sygnału; jakoś nic nie słyhać!

Każda minuta wydaje się godziną, wreszcie, gdy zegar uderzył

pięć razy, rozległ się gwałtowny stuk w drzwi, nadstawiam ucha do specjalnej okrągłej dziury w ścianie, przez którą wołaliśmy dozorców, słyszę niezwykle ruch na tem skrzydle, gdzie siedział Korotkow. Znów słyszę bicie w drzwi i krzyk innego towarzysza, że Korotkowa biją. Parę sekund potem kilka cel wali w drzwi. Łapię za dzbanek i walę również!

Cała ta akcja trwała około pięciu minut. Na alarm zleciała się chmara dozorców, i zaczęli wywlekać nas z cel do łaźni. Tam przygotowano nam ogólną masakrę z nadzwyczajnem okrucieństwem, bito gdzie popadło. Po przyprowadzeniu do cel po tej masakrze skazali nas, prócz tego, na czternaście dni na chleb i wodę, zabierając pościel.

Naturalnie, że po takiej awanturze, głódówki nie było, ale sam fakt protestu nie został bez wpływu na stosunek administracji do kilku z nas.

Po odbyciu tak zwanego „karceru“, znów pozbawiony zostałem spaceru i książek. Na moje żądanie, żeby dano mi książki do czytania, otrzymałem... ewangelję po rosyjsku.

Z początku z trudem rozumiałem tekst nowego testamentu, w miarę jednak wczytywania się, zacząłem rozumieć. Nie żałuję, że kilka razy czytałem nowy testament, czasem korzystam ze znajomości niektórych usępów, cytując je na zgromadzeniach, kiedy księża wdają się ze mną w dyskusję.

W połowie lipca otrzymałem informację, że w warsztatach, były jakieś awantury, w związku z tym ogromne masy więźniów z górskich plemion etapem przysłano na „usmirenje“ do orłowskiej katorgi. Całkiem niespodziewanie zostałem znów przeniesiony do ogólnej celi, i zpowrotem popędzono mnie do roboty w tkalni.

Na drugi dzień dano mi do nauki jakiegoś Lezgina, z którym w żaden żywy sposób nie mogłem się porozumieć.

W połowie lipca otrzymałem informację, że w warsztatach gdzie wyrabiają pakuły, ma zorganizować się ucieczka, a w razie gdyby się nie udała, to przynajmniej zmasakrują dozorców siekierami, słowem, że będzie awantura taka, jak mi mówił jeden z towarzyszy rosyjskich, że na dnie piekła słyszać będzie!

Około 20 — 21 lipca po południu miała zacząć ucieczkę 5-ta maszyna, przy której pracowali sami socjaliści - maksymaliści z Brińska. Póki ucieczka była w projekcie, wielu było amatorów, z chwilą rozpoczęcia samej akcji, prawie wszyscy stchórzyli.

O godzinie piątej po południu usłyszałem kilka wystrzałów rewolwerowych i urywane okrzyki. Wnet skombinowałem, że zaczęto

akcję. Istotnie jeden z więźniów podszedł do dozorcę **Wietrowa**, z prośbą o pozwolenie napicia się wody. Dozorca pozwolił, więzień zrobił wtył zwrot i w chwili, gdy miał pójść napić się wody, dozorca skierował swoje kroki w przeciwną stronę. Wówczas tow. Antonow podskoczył i chwycił go za gardło, dozorca był jednak znacznie silniejszy od więźnia. Chwil kilka szamotali się obydwa, a trafiać chciał, że ani jednego dozorcę nie było na podwórku.

Widząc to inny więzień, który o niczem nie wiedział, podskoczył do **Wietrowa** i wyrwał mu rewolwer, towarzysz Antonow puścił na chwilę dozorcę i chwycił topór z tokarni stolarskiej, a zanim zdążył się **Wietrow** zorientować, topór spadł mu na głowę, przecinając na pół czaszkę.

Wietrow padł trupem. Wówczas przypadkowy pomocnik Antonowa oddał mu rewolwer, a sam skrył się między maszyny. Z rewolwerem w ręce rzucił się Antonow na drugą stronę, chcąc wydostać się na ulicę przy pomocy drabiny. Na podwórku tam stał dozorca z karabinem. Chwil kilka obserwowałem z okna pierwszego piętra, jak dwaj ludzie czyhają na siebie wzajemnie. Przewaga była po stronie dozorcę, który mniej był zdenerwowany, to też gdy Antonow wystrzelił wszystkie naboje, dozorca złożył się i celnym strzałem położył go trupem na miejscu. Po dokonaniu tego wyjął gwizdawkę i zaczął przeraźliwie wzywać pomocy. Na alarm dozorcę zlecieli się wszyscy. Naczelnik wydał polecenie żołnierzom strzelania bez pardonu do wszystkich. Żołnierze nie zorientowali się, walili salwami do klęczących ludzi, którzy błagali o ratunek, trwało to około 10 minut.

Dopiero gdy przyjechał gubernator, przestano strzelać.

Zabitych było 17 więźniów i jeden dozorca, rannych 167.

W godzinę po tej masowej strzelaninie do bezbronnych ludzi, ściągnięto ze wszystkich zmian dozorców i rozpoczęto w innych warsztatach rewizję. Rewizja nie mogła nic wykazać, bowiem w tkalni, która mieściła się na pierwszym piętrze, jak również w stolarni, więźniowie byli zamknięci.

Opisywać szczegółów rewizji nie podejmuję się, zbyt była potworna i powiem krótko, że w dniu tym wszystkich więźniów bito w niemiłosierny sposób!

Na drugi i na trzeci dzień nie puszczono nas do roboty, jacyś podejrzani prowokatorzy zaczęli wskazywać na poszczególnych towarzyszy, których w nocy wyprowadzono z cel i sieczono różgami. Kładąc się spać, nikt nie był pewny, czy w nocy nie wywołają go na egzekucję.

W ciągu trzech dni wysiekli 600 więźniów, ogromna większość sieczonych różgami byli to polityczni. I tu znów wszystkich Żydów wyciągnięto z cel i sieczono różgami, nie wyłączając małego Abrama. Cóż to za potworne uczucie, gdy sieką różgami, ból fizyczny straszny, ale nie mniejszy ból moralny. Kto był tak obity, napewno całe życie pamiętać będzie.

Po tej krwawej masakrze zapanowały wprost dzikie obyczaje w katordze, namnożyło się szpicli, którzy węszyli wielką znowę, przy pomocy anarchistów z zakładów briańskich.

Naczelnik **Macewicz**, jako główny kat, jego pomocnicy **Sagajło** i **Aninkow**, oraz starszy **Kozłonkin**, przy pomocy prowokatorów, preparowali wspólnie z prokuratorem sprawę o zbrojny napad na dozorców z zamiarem ucieczki.

Śledztwo trwało pół roku; pociągnięto do odpowiedzialności 16 towarzyszy, z tego 3-ch Polaków. Wszyscy stanęli przed sądem wojennym. Na sprawę, która trwała trzy tygodnie, zjechało się około dziesięciu najwybitniejszych adwokatów z **Sokołowem** na czele. Podstawy oskarżenia były tak kruche, że przy rewizji sądu na miejscu stwierdzono, że wszyscy więźniowie ranni byli ztyłu, a więc do nich strzelano, a nie więźniowie do dozorców.

W następnym tygodniu toczyła się wielka rozprawa nie przeciwko 16 oskarżonym katorżnikom, a przeciw miejscowej władzy więziennej. Z procesu, z którego miał wyjść jako triumfator, **Macewicz** wyszedł jako zwykły zbrodniarz, albowiem wszystkich towarzyszy sąd wojenny uniewinnił. Wyrok uniewinniający uderzył całą siłą w system **Macewicza** i jego pomocników. To też w trzy miesiące po sądzie całą administrację zmieniono.

XVI

W pierwszych dniach października 1910 roku rozeszła się pogłoska w katordze, że zjawia się nowy naczelnik; w całym więzieniu myto i czyszczono wszystko, wszystkim więźniom zmieniono słomę w siennikach i poduszkach. Dozorcy, odświeżenie ubrani, rozwiesili medale na piersiach w oczekiwaniu „nowej władzy”.

Wśród więźniów panowało również zainteresowanie zmianą „władzy”, czemu dziwić się nie można, wszak naczelnik katorgi to pan życia i śmierci tysiąca katorżników. Powszechnie sądzono, że po takim łajdaku, jakim był **Macewicz**, nie może już być gorszy...

Nareszcie po południu, wśród ogromnego zainteresowania całej katorgi, zjawił się nowy naczelnik.

Wielka chmara dozorców, uszeregowanych na podwórku na przeciwko naszych okien, oczekiwała naczelnika. Słyszymy donośny głos starszego pomocnika Sagajło: Ba-cz-no-ś! Potem nastąpił raport i przywitanie.

Na tem zakończył się pierwszy dzień „urzędowania” p. Senajskiego.

Na drugi dzień Senajski zwiedził główny gmach w czasie pracy. W celach nie było prawie nikogo, robił awanturę oddziałowym dozorcóm, że w celach jest brudno, że brezenty na których ludzie śpią są wstrętnie brudne i t. p. Gdy przyszliśmy na obiad, poleciono nam wieczorem skrzynki wyczyścić szkieł, kazano nam również zdjąć brezenty, otrzymaliśmy nowe.

Pierwsze dwa tygodnie myło, czyszczono cele, korytarze: przyprowadzano do porządku ubranie i obuwie więźniów. Intendent więzienia w ciągu tych dwu tygodni miał więcej roboty, niż przez cały czas poprzedni; okazało się, że Macewicz nie tylko był katem, lecz i złodziejem. Wykazywał w książkach, że co kwartał daje nowe obuwie, a dawał raz na rok, to samo było z ubraniami, bielizną i pościelą.

Pod względem hygienicznym zmieniło się w katordze nie do poznania. Robactwo gdzieś znikło.

W ślad za uporządkowaniem cel, sprowadził Senajski komisję lekarską, która posegregowała więźniów według stanu zdrowia.

Oddzielono gruźlików od zdrowych, stworzono pośrednią grupę „początkujących”, słabszych umieszczono na dolnych korytarzach, pozwolono kupić wszystkim więźnióm miseczki, żeby każdy iadł oddzielnie. Zarządzenie to miało na celu ochronę zdrowych. Słowem zmienił się cały układ bytowania więźniów. Jakkolwiek zarządzenia w kierunku utrzymania czystości były słuszne, tem niemniej dla tych, co chodzili do pracy, było bardzo uciążliwe, albowiem zbyt krótki był czas pomiędzy apelem, a wyjściem do pracy. Na tem tle zaczęły się szykany administracji więziennej.

Oczywista — robiono to stopniowo, metodycznie, od czasu do czasu nawet — z okrucieństwem....

Naczelnik Senajski był to człowiek jeszcze młody, jasny blondyn, wysokiego wzrostu, nosił mundur wojskowy w randze porucznika.

W miesiąc po objęciu Orłowskiej katorgi, za Senajskim zjawiło się około trzydziestu jego dozorców. Rozmieszcili ich w ważniejszych

punktach, oddał im wszystko, co miało jaką wartość. A gdy usadowił „swoich”, rozpoczęła się orgja szykan.

Wslawił się pan Senajski jako człowiek, który za łada błahostkę, skazywał więźniów na chłostę.

W ślad za nowym kursem Senajskiego, który do systemu bicia po twarzy wprowadził chłostę, jako przeciętną karę za drobne uchybienia, — wśród więźniów obudziła się reakcja.

Wiara w lepsze warunki po ustąpieniu Macewicza była tak powszechna, że ludzie poprostu nie mogli nagiąć się do roli niewolników, których za łada błahostkę siekła różgami. Jeżeli się zważy, że przez pierwszy miesiąc cała katorga była świadkiem zewnętrznej poprawy, to łatwo zrozumieć stan psychiczny więźniów, rwących się do walki w obronie godności własnej. Kto raz zakosztował lepszych warunków, choćby tylko w postaci prawa do kupna miski, to już pozycji tej nie odda łatwo. Z każdym dniem coraz więcej było wypadków jawnej niesubordynacji.

Pan Senajski wściekał się, jak głodny pies, łajał nas, dozorców. W pojedynkach wszystkie cele były zajęte przez więźniów, którzy nie chcieli być biernym narzędziem wybryków Senajskiego i jego siepaczy.

W trzecim miesiącu celi Nr. 2 na pierwszym piętrze urządziła zbiorowy protest. W celi tej siedzieli introligatorzy, między nimi **Łódzki** z Warszawy. Wszystkich ukarano, zabierając pościel i pozostawiając ich w tak zwanym „widnym karcierze” na chlebie i wodzie. Towarzyszków Kuźniecowa i Morawskiego wysieczono różgami. Wiadomość ta poruszyła całe więzienie.

W ciągu tygodnia prowadziłem razem z kilku innymi towarzyszami usilną agitację na rzecz protestu w obronie towarzyszy introligatorów.

Ustaliliśmy, że w niedzielę zażąda nasz oddział naczelnika i oznajmi mu, że więźniowie nie myślą biernie znosić wybryków administracji więziennej.

W połowie tygodnia z niewiadomych przyczyn wszystkich nas przeniesiono z trzeciego piętra na pierwsze, nas posadzono do celi, w której siedzieli introligatorzy. Fakt ten podzielał na nas podniecająco. W sobotę raz jeszcze przeprowadziliśmy rozmowę ze wszystkimi celami na naszym korytarzu, a z rozmów wynikało, że nikt się nie uchylił od ustalonej formy protestu.

Całe przedpołudnie w niedzielę byłem bardzo podniecony, albowiem ja miałem formułować żądania w imieniu wszystkich z naszej celi.

Po mojem przemówieniu wszyscy mieli krzyknąć, że solidaryzują się z tem, co ja powiedziałem. Wybrałem taką formę, sądząc, że wszystkich do kozy nie posadzą.

O godzinie trzeciej po południu rozległ się zgrzyt zamka i komenda: baczość! Do celi naszej wszedł naczelnik Senajski, a za nim około 20 dozorców. Staliśmy wszyscy, uszeregowani według wzrostu. Senajski przeszedł koło nas, obrzucił nas złym wzrokiem, coś szepnął starszemu, poczem zwrócił się do nas, patrząc na mnie: „Czego chcieliście ode mnie?”

Zapytał tonem, w którym brzmiała groźba: „A niechno tylko który z was ośmieli się mówić, już ja wam pokażę”.

Kilka sekund milczenia, poczem głosem mocnym, z całym wysiłkiem woli zwracam się do Senajskiego i mówię: „Od pewnego czasu pan i pańscy podwładni zaczęliście stosować względem nas—których posadzono tu za przekonania,—system dzikich, nieczem nieusprawiedliwionych represyj. Zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy pozbawieni formalnych praw i wolności, ale życie i sumienie nasze należą do nas. Jeżeli pan nie zmieni systemu gwałtów, to my zmuszeni będziemy sami bronić się resztkami sił...”

Nie zdążyłem dokończyć zdania, gdy Senajski jak tygrys skoczył do mnie, zgrzytnął zębami i wrzasnął: „Co?! A jeszcze kto tak myśli, jak ten?” — tu wskazał palcem na mnie i spojrzał takim wzrokiem na wszystkich, że towarzysze z przerażenia zamarli. Po grobowem milczeniu całej celi potrząsnął triumfująco głową i rozkazał: „Zabrać go do karceru, jutro wydam decyzję, co zrobić z nim”.

Rzuciło się na mnie dwóch drabów, wyprowadzili mnie na korytarz i poprowadzili do kozy. W pojedynkach dozorca Bogomołow, puszczając mnie do „karceru”, pchnął z taką siłą, że upadłem na drewniane nary. W odpowiedzi rzuciłem soczyste wyzwisko pod jego adresem. Odtąd postanowiłem na każdą obelgę reagować.

Drugi i trzeci dzień minął, a Senajski żadnych decyzyj co do mnie nie dawał, byłem święcie przekonany, że otrzymam chłostę.

Po siedmiu dniach wypuszczono mnie z kozy i posadzono do słynnego Bogomołowa. Któż go nie pamięta z tych towarzyszy, którzy wówczas w katordze siedzieli? Suchy, wysokiego wzrostu, o głupim wyrazie oczu, zły, jak człowiek którego sumienie obarczyło jest notoryczną zbrodnią...

Trzy miesiące borykałem się z tym drabem; nie mogę opisać poniżeń i obelg, jakie spadały na mnie. Mam jednak to przekonanie, że za każdym razem, gdy Bogomołow wchodził do mojej celi, to po

skończonej rozmowie, wychodził jak pies, którego wybito sękatym kijem. Zacząłem nowy okres. Doprowadziłem do tego, że pozostawiono mnie w spokoju. Od czasu do czasu zaglądano tylko do mojej celi w czasie spaceru i unikano ze mną rozmowy. Tak przesiedziałem zgórą rok. W tym okresie nauczyłem się tak soczyście besztać, jak tylko może moskiewski dorożkarz.

Na początku 1912 roku zjawił się u mnie podpułkownik zandarmerji na badanie. Dowiedziałem się, że Sukiennik „sypie”, zandarm bardzo grzecznie i z dużą dozą sprytu wypytywał o nazwisko moje. Śmiałem się z tego kundla carskiego, zbywając go, jak ostatniego osła, kilku złośliwymi uwagami. Późną jesienią przewieziono mnie z Orłowskiej katorgi do Piotrkowskiego więzienia na skutek prowokacji Sukiennika.

XVII

W połowie grudnia 1912 roku, po czterech latach przebywania w murach katorgi orłowskiej, wracam do kraju, wracam nie jako wolny człowiek, lecz pod konwojem uzbrojonych żołnierzy.

A jednak wszystko we mnie gra radością, że chociaż z za krat wagonu więziennego zobaczę inny świat i innych ludzi.

Pierwsze wrażenie — to była nieklamana radość. Nie myślałem wcale, że jadę do więzienia piotrkowskiego, gdzie prowokator **Sukiennik** „sypie”, natomiast żyłem jedną myślą i jednym pragnieniem, żeby choć na krótki czas odetchnąć w innej atmosferze.

Byłem szalenie wycieńczony fizycznie i moralnie, zmiana warunków była wprost koniecznością.

Tą samą drogą, którą jechałem na katorgę, wracam do kraju. W Smoleńsku więzienie odnowione, ściany wymalowane olejną farbą, przemysłne pluskwy gdzieś znikły z cel tego niegdyś brudnego więzienia. Mińsk, Brześć i Siedlce. Spać nie mogę, serce tłucze się, jak u pojmanego ptaka, oczy gonia w ciągu dnia po polach z miłością i uczuciem radości. — To już nasze Podlasie,—myślę, a gdy wyruszyliśmy z Siedlec, oczami duszy wybiegałem naprzód, wyobrażając sobie obrazy Warszawy i okolic. Czytałem w ilustrowanych pismach rosyjskich, że Warszawa rozbudowuje się, że powstają wielkie gmachy...

Radość wielka, gorąca, uderzyła mi do głowy i serca: Warszawa!...

Przebywanie na brudnym „zborniaku” (przesyłkowe więzienie)

w oczekiwaniu na partję do Piotrkowa, wydawało mi się czemś nadzwyczaj „miłym”.

Trzy dni czekałem na wyjazd do Piotrkowa.

Z Warszawy do Piotrkowa wieziono nas nocą, nad ranem w niedzielę partja nasza przybyła na miejsce.

Po przybyciu z dworca kolejowego do więzienia, przeprowadzono gruntowną rewizję, po rewizji ulokowano nas w tak zwanym „mecu” u **Mikołajczyka**, który zaraz po przyśściu na „służbę” o godzinie szóstej rano, zrobił przegląd nowych „pensjonarzy” więzienia piotrkowskiego. Sądziłem, że mnie nie pozna, ale gdzie tam, poznał mnie odrazu i zakomunikował, iż towarzysze mnie tu dawno oczekują, i że zaraz idzie do kancelarji, żeby „dołożyć”, kogo to sprowadzono. Istotnie, w niecałą godzinę byłem już przeniesiony na tak zwany korytarz „sybiracki”. Przy przeprowadzeniu asystował t. zw. „koński łeb” (**Prieobrażeński**). Niezależnie od zamku w drzwiach, z polecenia naczelnika więzienia **Nikolskiego**, zawieszono na drzwiach moich dużą kłódkę, a klucza nie oddano oddziałowemu **Marcincowi**, lecz **Turkiemu**, który był dyżurnym „rozwołaszczym”. O godzinie ósmej otrzymałem śniadanie, kucharz wyróżnił mnie jako „obratnika” (tak nazywali złodzieje tych, co byli już na katordze).

Po śniadaniu zawitał do mojej celi naczelnik więzienia, p. **Nikolski**, ten sam, na którego robiony był zamach w Lublinie. **Nikolski** w rozmowie ze mną był niezwykle uprzejmy, w mojej obecności polecił dozorcę **Marcincowi**, żeby na każde zawołanie zgłaszał się do mnie i t. d. Ale skoro wyszedł na korytarz, to surowo polecił pilnować mnie, jak oka w głowie. Po urządzeniu się, wlałem na okno, żeby zorjentować się, jak wygląda sytuacja na podwórkach spacerowych. W pawilonie zauważyłem kilku znajomych towarzyszy. Po południu wyprowadzono mnie na spacer, na podwórko „sybirackie”. Podczas spaceru, obywatel **Dratwa** informował mnie o panujących nastrojach wśród więźniów politycznych, był oburzony na upadek zasad, gorszył się tem, że w pawilonie siedzi prowokator **Zygulski**, z którym towarzysze chodzą na spacer. Miał za złe, że niewiasty nasze siedzą w jednej celi z piękną Heleną — kochanką ks. **Macocha** i t. p. Naturalnie, większość tych zarzutów była zupełnie uzasadniona. Poziom nieco się zmienił w porównaniu z okresem 1906 — 1907 roku.

Po kilku dniach zjawił się u mnie sędzia śledczy w towarzystwie podprokuratora sądu okręgowego. Dowiedziałem się, że **Su-**

kiennik wyspał mnie w tych wszystkich sprawach, któremi kierowałem na terenie okręgu Częstochowskiego, prócz tego zadenuncjował mnie, że brałem udział w napadzie na pociąg pocztowy na stacji Rogów.

W tych wszystkich sprawach, gdzie prowokator przyznał się do bezpośredniego uczestnictwa w akcji, wytaczano sprawę wszystkim tym, kogo on „sypał”, natomiast, jeżeli chodziło o pogłoski, to prowokatorowi nie wierzono.

Naturalnie, że ze wszystkich spraw nic sobie nie robiłem z wyjątkiem „rogowskiej sprawy”, ale na to, że brałem udział w tej akcji, nie mieli żadnego rzeczowego dowodu. Za inne sprawy nie mogli mi nic więcej dać, gdyż wymiar kary mojej w sądzie wojennym był na to za duży.

Była to jednak duża sprawa; pociągnięto do odpowiedzialności 87 osób. Do sprawy tej należała cała masa towarzyszy, którzy dziś zajmują różne stanowiska społeczne i państwowe, że wymienię tow. tow. **Klempińskiego, Wcisłę, Radka, Wojciechowskiego** i wielu innych.

W czasie mojego pobytu na tak zwanym „sybirackim” korytarzu, pewnego dnia dozorca **Marciniec**, w czasie „wychodu”, wręczył mi gazetę ze słowami: „Niech pan czyta, a ja będę pilnował”.

Nie podejmuję się opisać ogromnego wrażenia, jakie na mnie zrobił fakt otrzymania gazet po czterech latach. W pierwszej chwili nie wiedziałem, czy mam czytać, czy też tylko patrzeć na gazetę; stan taki trwał krótko, ciekawość była zbyt wielka. Wszak był to rok 1912; w roku tym narastały wielkie wypadki wojenne, na Bałkanach wrzało, jak w ulu. Wojna europejska wisiała już w powietrzu.

W miesiąc później przeniesiono mnie z gmachu „sybirackiego” do pawilonu, posadzono na pierwszym piętrze w celi Nr. 16. Na tym samym korytarzu siedział również **Radek** z obecnym kapitanem **Wojciechowskim**. Często wśród późnej nocy **Radek** wybuchał śmiechem w swojej celi. Śmiech ten słychać było na całym korytarzu.

W pawilonie otrzymałem wiadomości o zmianach w Partji.

Poinformowano mnie, że we Lwowie grupa towarzyszy ze zgąsłym w r. b. **Perlem** na czele, utworzyła opozycję w stosunku do posunięć większości Centralnego Komitetu. Wiadomości te były dla mnie czemś niepojętym, szczególnie, gdy dowiedziałem się o likwidacji bojowej organizacji na zwołanym zjeździe przez towarzyszy: **Arciszewskiego i Gibalskiego**.

Przed samymi świętami Wielkiej Nocy konfrontowano mnie z towarzyszką Marją Gliksonówną (obecnie Mańkiewiczową), naturalnie ani ona mnie, ani też ja jej nie „poznałem”.

W połowie 1913 roku przybył z Łodzi towarzysz Pużak, który skazany został na 8 lat katorgi.

Po zakończeniu śledztwa i wręczeniu aktu oskarżenia, mnie, tow. Klempińskiego, Dolacha i innych wyeliminowano ze sprawy, gdyż mieliśmy już taki wysoki wymiar kary, że więcej nic nam dać nie mogli.

Czekałem w końcu lipca 1923 roku na wyjazd zpowrotem do katorgi. Cały czas siedziałem sam, to też często rozmyślałem nad sytuacją polityczną. Wiedziałem, że organizacja była niemal rozbita i jedni siedzą w więzieniach, inni dawno już nie żyją. Kontrewolucja carska triumfuje, czy na długo? Najbliższa przyszłość pokaże!

W pierwszych dnia sierpnia, tą samą drogą przewieziono mnie zpowrotem do orłowskiej katorgi.

XVIII

W powrotnej drodze z kraju do katorgi otrzymałem w Smoleńsku informację, że w Orle są poważne zmiany w składzie administracji. Wiadomość tę przyjąłem obojętnie, mając gorzkie doświadczenie ze zmianą administracji po krwawej masakrze 1910 r.

Bądź co bądź jechałem z dużym zapasem energii, albowiem w Piotrkowie znakomicie wzmocniłem swoje siły.

Idąc z dworca kolejowego w Orle do katorgi, przyglądałem się uważniej kolorytowi miasta, poprzednim razem byłem zajęty różnymi troskami, obecnie idę do więzienia, które znam, w którym walczyłem sobie pewne „przywileje”.

Wchodząc do kancelarii, uderzony zostałem zmianą w obejściu się ze mną. Przyjął mnie dość uprzejmie jakiś wysoki blondyn, dyżurny pomocnik, rozpytywał o poprzedni mój pobyt w katorze, spojrzał na moją kartę, w której odnotowywano moje sprawowanie, i polecił jakiemuś nowemu starszemu dozorczy przeprowadzić mnie do słynnej łaźni. Jakaż różnica w postępowaniu! Dowiedziałem się od dawnego intendenta, że nowy naczelnik nazywa się Puhałko, pochodzi z Połtawy.

Po przebraniu się, otrzymałem nowe ubranie, kołdrę, poduszkę i ręcznik.

Posadzono mnie do pojedynku. Na drugi dzień zjawił się do mnie nowy naczelnik więzienia. Średniego wzrostu, dość otyły, o sympatycznej twarzy, mówił ze mną krótko, w tonie przyjaznym, od niego dowiedziałem się, że jest nowy gubernalny inspektor więzień, człowiek przyzwoiły.

Z ogromną ciekawością oczekiwałem ranka, aby przekonać się, jak też jest przy wynoszeniu kubłów. Po porannym apelu rozpoczęło się wynoszenie, byłem mile zdziwiony, że nie słyszę krzyków dozorców i biegania więźniów. Wynoszenie kubłów trwało 1 i pół godziny, poprzednio pół godziny. Wszyscy swobodnie mogli się myć, całkiem inny świat! Naturalnie, ani myślałem przenosić się do celi ogólnej. Naczelnik **Puhałko** prowadził politykę zgody z tymi więźniami, którzy wyróżniali się swoją przeszłością, był ogromnie sumienny w stosunku do wszystkich więźniów. W warsztatach pozwalał więźniom gotować mięso, zupę i różne „smaczności”, które więźniowie nabywali sobie ze sklepu więziennego.

W miesiąc po moim powrocie do katorgi, zaproponowano mi pracę w celi. Tydzień pracowałem, szyjąc ze stomy na specjalnych modelach kołpaki na butelki. Praca ta była dla mnie przykra, przeto odmówiłem. Nie wywierano na mnie żadnego nacisku z tego powodu. Czytałem z całym zapałem i spokojem, nie słysząc dzikich krzyków bitych towarzyszy. Przeczytałem niemal wszystkich klasyków rosyjskich. Z ogromnem zainteresowaniem czytałem teoretyków socjalistów - rewolucjonistów: **Dobrolubowa**, **Michajłowskiego**, **Ławrowa**. Słynna polemika, którą prowadził **Plechanow** z **Michajłowskim**, była przedmiotem gruntownych moich studiów. Jakkolwiek byłem marksistą, niemniej zachwyciłem się tezami **Michajłowskiego** o roli człowieka i ludzkości w historii świata. Nie raz myślałem z pewnym żalem, dlaczego w kraju nie mamy takich miesięczników, jak „**Ruskie Bogactwo**”, „**Sowremiennyj Mir**”, „**Naczojne Obozrenie**” i t. p.

W miesięcznikach tych były przekłady utworów **Orzeszkowej**, **Sieroszewskiego** i innych. Czytałem pięknie napisaną pracę **Michajłowskiego** o **Żeromskim**, którego **Michajłowski** nazywał „**piewcom stradajuszczych dusz**”. Było mi bardzo przyjemnie, gdy czytałem przychylną ocenę twórczości **Żeromskiego**, który należał do tych pisarzy polskich, którzy nie zgnaśniali i nie poszli na lep frazesów o „organicznej pracy” **świętochowskiego**.

Prawdziwem wydarzeniem był dla nas utwór **Sieroszewskiego** p. t. „**Wędrowcy**” w tłumaczeniu **Smidowicza**. Takie samo wrażenie zrobiła na nas nowela **Orzeszkowej** p. t. „**Glorja**” **Victis**,

w tłumaczeniu tego samego pisarza. Słowem, żyłem jak i inni towarzysze, życiem ludzi umiających nie tylko strzelać do sług cara, ale staraliśmy się myśleć i, co najważniejsze, uczyliśmy się. Niestety, takich, którzy chcieli się uczyć, pośród Polaków było stosunkowo niewiele.

Czas upływał dość szybko w ciągu dnia, z nocami było gorzej: wyczerpanie poprzednie zrobiło duże szczyrby w mojej psychice. Trapiła mnie bezsenność prawie stale.

Szybko minął rok 1913. W zmienionej atmosferze rozpoczęliśmy 1914 rok, miesięczniki, które otrzymywaliśmy, zwiastowały nową erę w historii. Około 10 czerwca 1914 roku władze więzienne otrzymały zlecenie przygotowania 600 nowych miejsc dla więźniów, którzy przyjadą z Warszawy. Zaczął się ruch nie do opisanie. Prawie wszystkich przeniesiono do ogólnych cel, mnie z kilkoma towarzyszami zatrzymali w pojedynkach.

W trzy tygodnie potem przybyła do katorgi orłowskiej ogromna masa Polaków z Warszawy i innych miast. Tymczasem wojna rozpoczęła się...

Wśród więźniów zapanowało ogromne ożywienie; naczelnik więzienia pozwolił nam zaprenumerować dwie gazety: „Russkij Inwalid” organ Sztabu Jeneralnego i „Prawitielstwiennyj Wiestnik”. W obydwu tych pismach ocena sytuacji politycznej, strategicznej, była tendencyjna, ale przebieg akcji wojennej mieliśmy w 75 procentach prawdziwy.

Rosja w dość krótkim czasie wystawiła ogromną armję, liczącą 10 milionów żołnierzy. Koszta utrzymania armji w początkach wojny wynosiły 8 milionów rubli dziennie a w końcu wojny wydatki dzienne na cele wojny wynosiły już 50 milionów rubli. 80 procent przemysłu w całym państwie służyło wojnie. W miarę przedłużania się wojny, ekonomiczne siły Rosji z każdym dniem słabły.

W naszych oczach odbywały się zmiany na gorsze, już w drugim roku wojny dla ochrony więzienia przychodzili starzy rezerwiści, uzbrojeni w dawno wycofane z armji berdanki. W katordze więźniowie podzielili się na dwie grupy. Polityczni nie ukrywali, że pragną, żeby car Mikołaj II wojnę przegrał, albowem przegrana wojna prowadzi w prostej linii do rewolucji. Kryminaliści w ogromnej większości byli innego zdania, ich nie obchodził przyszły ustrój Rosji, oni chcieli wygranej wojny, bo jak car wojnę wygra, mówili, to będzie manifest. Masami zgłaszali się na ochotników do wojska. Z katorgi zrobiono ogromną fabrykę, która pracowała na rzecz wojny. Ręczne granaty, urządzenia do szpitali, ubranie, bieliznę, buty

robiono w katordze. Na początku 1915 roku udało nam się skaptować dozorcę, który przynosił do więzienia „**Ruskoje Słowo**”. Z gazety tej otrzymaliśmy zgoła inne informacje o stanie rzeczy w Rosji. Na posiedzeniach Dumy coraz głośniej rozbrzmiewały żądania amnestji dla więźniów politycznych. Słynna rozprawa w sprawie polskiej w Dumie, kiedy obecny poseł na Sejm, **Harusewicz**, błagał rząd carski o autonomję dla Polski, deklarując wierność carowi w imieniu Koła Polskiego, spotkała się z głośnym protestem na ławach „trudowników”. **Kiereński rzucił w twarz endeckiemu posłowi: „Nie autonomji żądajcie, a niepodległości!”**

Rosja Romanowów zaczęła trzeszczeć w posadach.

Punktem zwrotnym w nastrojach i stosunku do cara **Mikołaja**, nawet u burżuazji, była sprawa **Rasputina**, którego zgładziła dworska kamarylla.

Na trzy dni przed rewolucją otrzymaliśmy ostatni raz gazetę „**Ruskoje Słowo**” w więzieniu.

Na pierwszej stronicy grubym drukiem czytaliśmy: „**Tłumy demonstrantów prosto z fabryk podeszły pod Taurydzki pałac (gmach Dumy), żądając od przedstawicielstwa narodu chleba!!! Do demonstrantów wyszli deputowani Dumy, żeby z bałkonu przemawiać**”. Potem, wiadomości urwały się zupełnie; dwa dni żyliśmy jak nieprzytomni. Instynktownie wyczuwaliśmy, że stoimy przed rewolucją, nikt nie miał odwagi głośno rzucić słowa — rewolucja dokonywa się!... W noc z dnia 16 na 17 marca, słyszeliśmy niezwykle ożywienie w mieście; do późna w nocy nie milkły okrzyki: hura!...

Nie mogę zasnąć, myśli uporczywie wybiegają za mury więzienia, wysiłam się, żeby przeniknąć tajemnicę — słyszę: na dole zegar bije dwunastą, jeszcze słychać okrzyki h-u-r-a!... Nagle otworzono moje okienko, przez które dozorca rzucił mi jakiś papier. Skoczyłem, jak kot, z łóżka, gorączkowo odkręcam papier, czytam odezwę gubernatora, który pisze — „Obywatele, wzywam was do spokoju, w stolicy mamy nowy rząd!”

A więc rewolucja — myślałem, — ogień uderzył mi do głowy, serce gwałtownie zatłukło z radości.

Do samego rana nie zmrużyłem oka, rano o godzinie siódmej zaczęło się dla nas, po tylu latach męki duchowej, nowe życie.

Otwierają się podwoje więzienia, stajemy przed niezliczonym tłumem rewolucyjnych żołnierzy, którzy na bagnietach powywieszali czerwone sztandarki — symbol zwycięskiej rewolucji. W pół godziny potem, po 10 latach więzienia, przemawiałem do niezliczonych

tłumów. W dwie godziny wybrany byłem do Komitetu Wykonawczego Rady Delegatów Robotniczych, tego samego dnia powierzono mi pieczę nad więźniami w całej gubernji. Było to 17 marca 1917 r.

XIX

Po wyjściu z katorgi ulokowano nas w wojskowym szpitalu przy ul. Bołchowskiej. Część towarzyszy - Polaków opuściła miasto, udając się w różne strony obszernej Rosji. Część zaś, pomiędzy nimi towarzysz **Prystor** — została w Orle. Pierwszy dzień żyliśmy w jakimś zaczarowanym świecie; na drugi dzień każdy z nas musiał postawić sobie pytanie: co robić dalej?!

Przez szereg lat wegetowaliśmy, oderwani od życia, rewolucja dała nam wolność, nie dając nam środków do życia. To też każdy z nas po ochłonięciu, myślał o wyszukaniu sobie pracy. Niektórzy towarzysze na drugi dzień zgłosili się do Polskiego Komitetu Pomocy ofiarom wojny. Kierownicy tego Komitetu przyjęli nas wogóle uprzejmie, lecz sucho, wyjątek stanowiły kobiety.

To też nie naprzykrzaliśmy się panom z Komitetu, starając się na własną rękę znaleźć pracę!...

W tydzień po wyjściu na wolność, **Prystor** (dziś mąż zaufania marszałka **Piłsudskiego**) zaprosił wszystkich P. P. S-owców na herbatkę do swojego prywatnego mieszkania; tam założyliśmy miejscową sekcję P. P. S.. Wybrano Komitet; przewodniczącym został tow. **Prystor**, jego zastępcą wybrano mnie. Prócz tego do Komitetu wchodził towarzysz: **Wcisło, Kułakowski** (Celiński) — ten sam, który był wywieziony z Pawiaka. Żona tow. **Prystora** mieszkała w Orle, podczas jego przebywania w Orłowskiej katordze pracowała w szkole polskiej, pomagała mężowi, przychodząc co miesiąc na widzenia z obfitą „wałówką”. Po ukonstytuowaniu Komitetu, postanowiliśmy w dniu 24 marca (święto rewolucji marcowej) wziąć udział w pochodzie z własnym sztandarem, jako sekcja P. P. S. Ustaliliśmy, że **Prystor** przemawiać będzie po polsku, a ja po rosyjsku.

Pogoda tego dnia była dżdżysta. Pamiętam, jak pani **Prystorowa** i moja żona, wzięły mnie pod rękę, żeby mi było ciepłej, bo byłem w więziennem ubraniu. Ogromny pochód o niezliczonej masie czerwonych sztandarów wyruszył z pod rady miasta na plac Kadecki, gdzie z ustawionych trybun przemawiali mówcy po odprawionem nabożeństwie.

Nastrój ludności był podniosły. Nigdy nie zapomnę tego imponującego zgromadzenia. Nawet kler, asystujący prawosławnemu

biskupowi podczas pochodu, ubrany był na czerwono. Kto widział pierwsze dni rewolucji marcowej, ten nigdy nie zapomni tych wspólnych i podniosłych chwil...

Na tem pierwszym święcie rewolucji, odrazu uwidoczniły się różnice, pomiędzy uczestnikami pochodu.

Mieszczanscy demokraci, socjaliści rewolucjoniści i „mieńszewicy” stali na stanowisku prowadzenia wojny dalej aż do pokonania Niemców. „Internacjoniści” i bolszewicy z punktu wysuwali hasło: „Precz z wojną!”

Stanowisko nasze (P. P. S.) było dość trudne; oderwani byliśmy od kraju i jego potrzeb politycznych w nowej, porewolucyjnej sytuacji... To też w łonie naszej organizacji były dwa kierunki—jeden, stojący na stanowisku nie wtrącania się do wewnętrznych stosunków Rosji, reprezentowany przez **Prystora**, drugi, twierdzący, że trzeba wziąć udział w instytucjach i organizacjach rewolucyjnych (rady delegatów i t. p.), który reprezentowałem ja. Na zebraniach sekcji, pomiędzy mną a tow. **Prystorem**, odbywały się dość ostre starcia. Pogląd **Prystora**, żeby nie brać udziału w Radzie delegatów upadł, przyjęto mój wniosek. Tow. **Kielecki** pisze w księdze pamiątkowej PPS. w artykule „P. P. S. w Rosji od r. 1917”, że rosyjskie partje socjalistyczne do naszej Partji odnosiły się z niechęcią. Ja osobiście nigdy tego nie odczuwałem. Oczywiście, że w tych miastach gdzie towarzysze nasi zajmowali stanowiska, podobne do stanowiska tow. **Prystora**, odnoszono się ze strony rosyjskiej do nich z nieufnością.

Ja osobiście ani chwili nie wahałem się, uważałem, że nam — rewolucjonistom polskim—nie wolno stać na uboczu w chwili, gdy rosyjskie masy ludowe robią wysiłek w kierunku objęcia władzy. Dzięki tej taktyce zdobyliśmy duże znaczenie w Orle.

Po objęciu funkcji komisarza politycznego rady delegatów nad całym więziennictwem w gubernji, zjawiłem się do katorgi na „inspekcję”. Po przyjeździe do bramy więzienia, w którym tyle straszliwych chwil przeżyłem, z bijącym sercem zadzwoniłem; po chwili klucznik otworzył mi furtkę więzienia, stając na baczność. Chwila niezwykła, — ja, ubrany jeszcze w więzienne ubranie, a obok mnie dozorca, stojący na baczność — ile w tem jednym zestawieniu było tej prawdy — że nic bezkarnie się nie robi, a historia umie godnie odpowiedzieć na wszystko. Zaledwie zdążyłem wejść do więzienia, widzę wyszeregowanych dozorców, którzy czekali na przyjęcie „nowej władzy rewolucyjnej”. Krótko bawiłem w katordze, wszystkich

tych, którzy odznaczali się okrucieństwem, poleciłem oddziałowi żołnierzy posadzić tam, gdzie my siedzieliśmy.

Były próby ze strony niektórych towarzyszy, żeby bez żadnego sądu rozstrzelać wszystkich tych, co znęcali się nad nami. Ja z całą siłą oponowałem przeciwko temu; zdaniem mojem tego rodzaju załatwienie sprawy traktować należało jako zwykły mord...

Zorganizowałem specjalny Komitet, który zajął się zbieraniem materiałów przeciwko poszczególnym dozorcóm. Materiały te oddaliśmy nowomianowanemu prokuratorowi, który prowadził dochodzenie przeciwko mordercom. Chodziło mi o to, żeby nad tymi zbrodniarzami odbył się sąd pod kontrolą opinii publicznej. Teza moja została zaakceptowana przez miejscową Radę Delegatów.

Poza pracą w ruchu rewolucyjnym, którą wykonywałem bez zapłaty, musiałem szukać zarobkowania. Wkrótce otrzymałem pracę; ileż to miałem radości, kiedy za pierwsze zapracowane pieniądze kupiłem sobie ubranie. W tym samym czasie rozwinęliśmy ożywioną działalność agitacyjną wśród wychodźców, w krótkim czasie udało nam się stworzyć dość silną organizację. Pierwsza uroczystość majowa była imponująca, szliśmy w oddzielnej grupie pod partyjnym sztandarem z pieśnią „Czerwonego Sztandaru” na ustach. Pieśń nasza wprowadzała przechodniów w podziw. Dla mas wygnańców staliśmy się bliscy, bowiem pracę naszą wśród wygnańców nie traktowaliśmy ze stanowiska filantropijnego. Krok za krokiem zdobywaliśmy znaczenie, jako Partja, w instytucjach wygnańczych, gdzie prawie niepodzielnie usadowili się poprzednio endecy. Pierwszy wiec „wygnańców”, zwołany przez miejscowy Komitet P. P. S., był naszym tryumfem.

W czerwcu 1917 r. wyjechałem na pierwszą konferencję P. P. S. w Rosji, do Petersburga.

Na konferencji tej powzięto szereg uchwał dość ogólnikowych. W każdym razie konferencja ta przyczyniła się do organizacyjnego skoordynowania wszystkich sekcji.

Po wyjeździe tow. Prystora zostałem przewodniczącym miejscowej sekcji.

Po przyjeździe z konferencji zostałem wybrany, jako przedstawiciel P. P. S., do prezydium Rady Delegatów robotniczych i żołnierskich w charakterze wiceprezesa. Prezesem Rady był mienśzewik, **Pierewierzew**, człowiek ogromnie sympatyczny i wykształcony. W tym mniej więcej czasie poznałem tow. Kowalewa, który wchodził

do wydziału wykonawczego Rady, jako delegat sekcji żołnierskiej jednego z pułków piechoty.

Wystąpienie Krasnowa postawiło na nogi cały nasz garnizon, który znajdował się pod wyłącznym wpływem Rady Delegatów. Od samej rewolucji w Orle przedstawiciele Rady Delegatów objęli faktyczną kontrolę nad całym życiem administracyjno - wojskowym. W innych miastach toczyła się cicha walka pomiędzy organami tymczasowego Rządu, a Radami Delegatów — w Orle urządziliśmy się inaczej, tworząc fakty dokonane. **To też nikomu do głowy nie przychodziło, żeby uwolnić się od kontroli Rady Delegatów.**

Naczelnem hasłem całej Rady Delegatów była walka o rychłe zwołanie Konstytuanty.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że dualizm władz długo trwać nie może, tembardziej, że coraz wyraźniej zarysowywała się ogromna różnica pomiędzy bolszewikami a socjalistami rosyjskimi.

Po nieudaleń bolszewickim „puczu” w lipcu, w Petersburgu i Moskwie jeszcze bardziej zaostrzyła się walka pomiędzy bolszewikami a socjalistami. Charakterystyczny był fakt, że wszyscy robotnicy w Orle—przeważnie kolejarze—byli pod wpływami mieniszewików, żołnierze zaś pod wpływem bolszewików. Zjawisko to było naturalnie, gdy się zważy, że wojna była tą zmorą, która dusiła w równej mierze przed i po rewolucji ludność. Na agitację bolszewicką podatni byli żołnierze znacznie więcej, niż robotnicy.

We wrześniu wytworzyła się taka sytuacja, że obie strony zgodziły się na to, żebym ja, jako P. P. S-owiec, objął przewodnictwo Rady Delegatów. Nie ukrywam, że sympatje moje w tym momencie były po stronie bolszewików, którzy wyraźnie wówczas stawiali sprawy **narodowościowe**, mniejsza o to, czy robili to szczerze, czy też nie. Jako przewodniczący, starałem się być bezstronny, łączyła mnie osobista przyjaźń z całym szeregiem mieniszewików i escrowców aż do mojego wyjazdu do kraju. Bolszewików, z wyjątkiem jednego (**Andrejewa**), nie lubiłem i osobistej przyjaźni nie żywiłem do nikogo. Ba, nawet za różne łajdactwa pakowałem do kryminału. Po przegranej ofensywie Kiereńskiego ruch bolszewicki rósł w niebywałą siłę aż doszedł do drugiej rewolucji, zwanej Październikową.

XX

W dniu 25 października (według starego stylu) drugi wszechrosyjski **Zjazd sowietów** w Petersburgu rozpoczął obrady w momencie, gdy walki toczyły się na ulicach stolicy. Atmosfera walki

z ulicy przeniosła się do sali obrad. Bolszewicy znakomicie wyżytkali rewolucyjną sytuację. Odnosiło się wrażenie, że wybuch drugiej rewolucji ściśle był związany z datą Zjazdu. Mieńszewicy i prawi eserzy, będąc w mniejszości na zjeździe, zmuszeni byli opuścić salę obrad. Wyjście mieńszewików i prawych eserów ze Zjazdu nie wpłynęło na tok obrad. Przeciwnie, wyjście tych dwóch socjalistycznych partij w liczbie 51 delegatów na ogólną liczbę 676, większość Zjazdu potraktowała, jako „kontrrewolucyjny wybryk”.

Druga rewolucja, prowadzona przez bolszewików, w zgodzie z lewymi eserami i anarchistami, była przez wzmiankowany Zjazd **zalegalizowana**, podobnie, jak rewolucja majowa przez Sejm Rzeczypospolitej polskiej.

Po uroczystem proklamowaniu, że „**władza należy do robotników, chłopów i żołnierzy**”, Zjazd następnego dnia zakończył swe obrady.

Walka „o pełnię władzy dla sowietów” ze stolicy, przeniosła się do Moskwy. Na ulicach Moskwy walki zacięte trwały cały tydzień. Oryginalne to były walki, w obronie hasła: „**cała władza dla sowietów**”. Stanęli wszyscy niemal żołnierze, którzy pod dowództwem podoficera Murałowa walczyli, jak lwy, z dobrze wyćwiczonemi oddziałami szkoły oficerskiej i z oficerami.

Zwyciężyli żołnierze, którym bolszewicy rzucili hasła rewolucji społecznej. Po zakończeniu walk w Moskwie, bolszewicy z początkiem listopada rozpoczęli walkę o zdobycie Kijowa. W czasie tych walk obradowała druga konferencja P. P. S. W Kijowie walczyły ze sobą trzy grupy: Na czele bolszewickiej grupy stał **Piatkow**, który zmierzał do opanowania Kijowa dla władzy sowieckiej. Sprowadzone z południowo-wschodniego frontu pułki czeskie walczyć miały w obronie rządu **Kiereńskiego**. Oddziały szybko tworzącej się armji ukraińskiej zmierzały do wyparcia i jednych i drugich, w celu zdobycia Kijowa, jako stolicy Niepodległej Ukrainy. Konferencja nasza obradowała w atmosferze walk ulicznych. Cała sympatja nasza, jako mniejszości polskiej, była po stronie Ukraińców.

W sprawie **ukraińskiej** konferencja zajęła jasne stanowisko, któremu dał wyraz na Centralnej Radzie Ukraińskiej delegat konferencji, tow. **Korsak** (dziś wojewoda Kielecki). Centralna Rada zastępowała ukraiński Sejm.

P. P. S. przez usta tow. Korsaka popierała szczerze dążenia Ukraińców do stworzenia państwa ukraińskiego. Na Centralnej Radzie głos naszego przedstawiciela poza Ukraińcami był odosobniony.

Stanowisko nasze było zgodne z uroczystem proklamowaniem przez Radę Komisarzy Ludowych „prawa narodów do stanowienia o sobie“

W sprawie przewrotu stwierdzono, że przewrót został dokonany przez partje rosyjskie (bolszewicy, lewi eserzy i anarchiści), że w chwili obecnej, kiedy mamy fakt przewrotu dokonany, nie chcemy solidaryzować się z kontrrewolucją, tem bardziej, że w sprawach narodowościowych Rada Komisarzy Ludowych proklamowała uroczyste prawo stanowienia o sobie pobitych narodów.

Powyższa rezolucja przeszła wszystkimi głosami obecnych przy sprzeciwie p. **Sokolicz**, obecnej komunistki i tow. **Dewudzkiego**. Wstrzymali się od głosowania tow. tow. **Pużak** i **Domosławski**.

Warto nadmienić, że duchowym przywódcą zwolenników uznania przewrotu za fakt dokonany, był tow. **Libkind**. Nie ukrywam, że byłem gorącym zwolennikiem współpracy rewolucyjnej z lewy-
mi eserami i bolszewikami.

Po powrocie z konferencji, zwołałem Zjazd przedstawicieli powiatowych i gminnych sowietów, dla zajęcia stanowiska wobec przewrotu.

Zjazd był bardzo burzliwy. jednakże większością 13 głosów przyjęto formułę, uznającą nową władzę.

Przewodniczącym ponownie wybrano mnie jednogłośnie.

W całej Rosji urzędnicy ogłosili sabotaż przeciwko Radzie Komisarzy Ludowych, w Orle nie było żadnego sabotażu. Piotrowski, ówczesny Komisarz Ludowy do spraw wewnętrznych, nalegał na mnie, żeby rozwiązać milicję, zastępując ją czerwoną gwardją. Żądaniu temu nie podporządkowałem się, utrzymałem milicję, zorganizowaną po rewolucji marcowej. Po uporządkowaniu wszystkich spraw, wyjechałem do Petersburga, żeby porozumieć się z C. K. W. P. P. S. co do dalszej działalności. Spotkałem się wówczas w Centralnym Komitecie pomocy ofiarom wojny z b. posłem komunistycznym **Królikowskim**, który oburzony był na przewrót; tłumaczył, że w państwie, gdzie jest 80 proc. chłopów, którzy są zwolennikami prywatnej własności, jest absurdem marzyć o socjalizmie. Po przyjeździe do kraju **Królikowski** został komunistą.

W Petersburgu otrzymałem instrukcje, żeby przy składaniu deklaracji politycznych w imieniu P. P. S. podkreślać dążenie nasze do stworzenia rządu rewolucyjnego, który składałby się ze wszystkich grup od trudowników do bolszewików, czyli proponowaliśmy hasło

jednolitego frontu partyj robotniczych. Z całą skrupulatnością korzystałem z każdej okazji, żeby demonstrować nasze stanowisko.

Nie zamykałem oczu na los wygnańców naszych, którzy po przewrocie znaleźli się w położeniu bez wyjścia. Sytuacja finansowa nowego rewolucyjnego rządu była niżej wszelkiej krytyki. Hasło rzucone, zaraz po przewrocie, że władza należy do miejscowych sowie-
tów, zrozumiane zostało przez gubernjalne sowie-
ty w taki sposób, że w każdej gubernji, dla utrzymania państwowego aparatu, nakładano na burżuazję kontrybucje. O płaceniu podatków mowy nie było, trzeba było uciec się do jedyne-
go środka — **kontrybucji**.

Z sum kontrybucyjnych przekazywałem poszczególnym komitetom wygnańczym pieniądze na prowadzenie internatów, ochron i szkół. Nie potrzebuję pisać, że ciężar opieki nad wygnańcami musieliśmy wziąć na siebie. Narodowi demokraci, którzy czerpali za dawnych rządów pieniądze w chwili krytycznej dla mas wygnań-
czych, usunęli się. Komitet miejscowej Sekcji P. P. S. stworzył nowe władze wygnańcze; rozpoczęliśmy przerwana pracę dla dobra wygnańców.

Pomimo ogromnej pracy, jaka na mnie spadła, ani na chwilę nie usuwałem się od polskich organizacji społecznych.

Rzucone przez bolszewików hasło: „**ziemia dla chłopów**“, było sygnałem do ucieczki chłopów z pola walki, chociaż formalnie wojna trwała jeszcze. W tym momencie, kiedy **Trocki** rzucił w Brześciu Niemcom i Austriakom formułę „**ani wojna, ani pokój**“, armji — w ścisłym znaczeniu tego słowa — Rada Komisarzy Ludowych nie miała.

Ogromne masy ciągnęły z zachodu na wschód z bronią w rękach po ziemię do swoich wsi. Wielka armja rozpełzła się w krótkim czasie, Niemcy bez żadnej przeszkody mogli posuwać się w głąb Białorusi, zajmując Mińsk, Połock i Orszę.

Zawarty pokój w Brześciu przyjęty został przez wszystkie socjalistyczne partie mniejszości narodowych z ogromnem oburzeniem. Bolszewicy pod wpływem strachu poszli na kapitulację, rzucając do kosza wzniesłe hasła o samookreśleniu narodów. Po Brześciu stanowisko nasze uległo zmianie. Godność prezesa sowie-
tu złożyłem, pozostając jednak w Komitecie wykonawczym.

Po podpisaniu pokoju Brzeskiego z zachodu napłynęło do Orła mnóstwo Łotyszów i Żydów. Orzeł, gdzie faktycznie rządaliśmy, zmienił się w parę dni nie do poznania.

Bandy rabusiów grasowały po mieście, grabiąc spokojnych obywateli. Przewodniczącym sowie-
tu wybrany został Łotysz, **Wiskind**,

człowiek niezmiernie ograniczony, lecz okrutny. Krwiożerczy był to demagog, ludność bez różnicy przekonań nienawidziła go całą duszą. To też, gdy rozpoczęły się walki nad Wołgą z oddziałami czecho-słowackimi, walki, które napawały obawą Radę Komisarzy Ludowych, a gdy Kazań wzięli Czesi, pan **Wiskind** z innymi komunistami postanowili dokonać podziału złota w Banku Państwa. Na przeszkodzie do podziału stałem ja, jako człowiek, który podpisywał asygnaty. Postanowili zaprosić mnie na poufne posiedzenie gubernialnego Komitetu Komunistycznej Partii; na posiedzenie to przybyłem, ale gdy dowiedziałem się, o co tym panom chodzi, powiedziałem, że pieniądze, które są w Banku Państwa, należą do Państwa, jeżeli nastąpi pogorszenie sytuacji na froncie, to pieniądze wraz z majątkiem będą ewakuowane w bezpieczne miejsce. Jednocześnie zawiadomiłem ich, że w tej chwili idę do aparatu „Hughes'a” i powiadomię o tych zamiarach **Lenina**.

Oświadczenie moje wywołało konsternację. Wogóle w tym czasie napływały do urzędu, który piastowałem, w dużej ilości depesze o tem, że to w jednym, to w drugim miejscu skradzione zostały pieniądze. Powódź depesz była tak wielka, że nie zastanawiano się nad tem, kto ukradł, tylko „ile ukradł”.

O chwilach tych często myślę z goryczą. Muszę z dumą powiedzieć o naszych towarzyszach, że byli przykładem dla miejscowej ludności. Najważniejsze stanowiska, szczególnie tam, gdzie były pieniądze, obsadzałem przez naszych towarzyszy, nie miałem ani jednego wypadku, żeby ktokolwiek z towarzyszy P. P. S-owców zrobił krok nieetyczny. Po zlikwidowaniu „awantury Czecho-Słowaków” zapanował względny spokój, czas ten wyzyskałem na objazd powiatowych sowietów. Objeżdżając ogromny obszar autemobilem, widziałem spustoszenia na wsi; nie było ani jednego wypadku, żeby choć jeden dom obszarnika został cały — wszystko spalone...

Strasliwy widok: sterczące kominy przypominały, że były tu do niedawna piękne gmachy.

Gdy patrzyłem na ten dziki wandalizm, próbowałem wyjaśnić sobie, dlaczego w ten sposób „przeprowadzano reformę rolną” w Rosji. W rozmowach z chłopami, otrzymywałem odpowiedzi, że przyznajemy wam, towarzyszu, rację, że w domach tych mogliśmy pouządzać szkoły, ochrony, kluby i t. d., ale ci — tu wskazywali palcem na sterczące mury — tyle nam i naszym dziadom w ciągu długich lat narobili krzywdy, że nie mogliśmy wytrzymać — „niech po nich ślad zaginie”, mówili z okrucieństwem w głosie!...

Straszne uczucie, a jednak, gdy wyjechałem w pola i myśli

skierowałem do literatury rosyjskiej, szczególnie do **Gleba Uspieńskiego**, znanego pisarza rosyjskiego, który krwią serca pisał o straszliwej krzywdzie chłopów rosyjskiego, zacząłem rozumieć ich, gdy mówili „**człob po nich paminu nie było**“...

ROK 1918

XXI

Lewi eserzy nie potrafili znaleźć wspólnego języka z bolszewikami, w sprawie „haniebnego pokoju w Brześciu”. Po ratyfikacji Brzeskiego pokoju na IV nadzwyczajnym Zjeździe Sowietów, lewi eserzy odwołali swoich przedstawicieli z Rady Komisarzy ludowych, zaczęła się pomiędzy lewymi eserami a bolszewikami nieubłagana walka. Lewi eserzy rozpoczęli namiętną agitację w wojsku, wzywając resztki tych wojsk do powstania przeciwko najeźdźcom niemiecko — austriackim. Pomimo wyteżonej akcji agitacyjnej, nie mogli jednak wywołać poważniejszych rozruchów powstańczych. Na V lipcowym zjeździe walka lewych eserów z bolszewikami doszła do zenitu.

Po burzliwym posiedzeniu na którym tow. Spiridonówna groziła bolszewikom „rewolwerem i bombą”, bolszewicy zmuszeni byli do bardziej stanowczych kroków, tem bardziej, że lewi eserzy przenieśli walkę z sali obrad na ulicę.

Na kilka godzin udało się lewym eserom stworzyć poważny zamęt w Moskwie, aresztowany był nawet przez nich **Dzierżyński**.

Bolszewicy, opierając się na wiernych oddziałach łotewskich strzelców, rewoltę stłumili.

Po opanowaniu sytuacji, bolszewicy rozpoczęli rozbrajać lewych eserów, wywołując rozłam wśród nich, co się częściowo im udało. Po rewolcie lewych eserów, bolszewicy objęły władze w swoje wyłączne ręce. Z hasła: **pełnia władzy dla sowietów**, które to hasło rozumiane było jako wyraz wspólnych wysiłków tych grup i partyj, które stały na gruncie przewrotu październikowego, powstało nowe hasło: **pełnia władzy dla bolszewików!**

Taki obrót rzeczy, nas—PPS-owców, postawił w dość kłopotliwym położeniu. Po ustąpieniu lewych eserów z sowietów, zostaliśmy sam na sam z bolszewikami. Musieliśmy się zastanowić, co dalej robić. W parę dni po tym fakcie do Orla zjechała jakaś uczna banda, świetnie uzbrojona, której przewodził niejaki **Suchonosow**.

Banda Suchonosowa tytułowała się „Sztabem do walki z kontrrewolucją i sabotażem”. Po pojawieniu się jej w mieście zapanowały dzikie stosunki. Suchonosow, wbrew komitetowi wykonawczemu wprowadził stan oblężenia i rozpoczął po nocach „rozbrajać burżazję”. Po takim „rozbrojeniu”, które odbywało się w nocy, do Komitetu Wykonawczego napływały liczne skargi od ludności na samowolę i zwykły rabunek.

Po tygodniu tej „strategicznej operacji” ogromna większość mieszkańców, została formalnie ogłolona ze wszystkiego. Stan taki nie mógł długo trwać. Szanująca się władza musiała pomyśleć o bezpieczeństwie ludności miasta. Odbyło się poufne posiedzenie prezydium gubernjalnego Sowietu, w gmachu komisariatu do spraw cywilnych (dawny urząd gubernatorski). Komisarzem do spraw cywilnych, po złożeniu godności przewodniczącego, byłem ja. Posiedzenie dlatego odbyliśmy w biurze, gdzie urzędowałem, gdyż nie byliśmy pewni, czy Suchonosow nas nie przyaresztuje.

Na tem posiedzeniu postanowiliśmy rozpocząć walkę z bandą Suchonosowa. Dowództwo objął komisarz do spraw wojskowych Siemaszko. Cóż, kiedy do naszej dyspozycji było 150 żołnierzy i 50 uzbrojonych cywilów, z których 30 było PPS-owców. Poza tem mieliśmy dwie pancerki, dwie armaty i 4 kukmoty. Karabinów mieliśmy bardzo dużo, po rozbrojeniu na dworcu kolejowym oddziałów kozackich Kaledina, które wracały z frontu Zachodniego do okręgu Dońskiego.

Miasto podzielone na dwie równe części, dzieliła rzeka Oka. W umówioną noc dziesięciu naszych towarzyszy pod dowództwem tow. Wojtasika — (zagłębiak ze sprawy /ygulskiego) zajęło przeprawy przez most od strony dworca kolejowego, inny oddział, w sile piętnastu ludzi pod dowództwem tow. Czyża, zajął dworzec kolejowy. Po odcięciu Suchonosowa od pancernego pociągu, który ulokował na bocznicy, prawy brzeg miasta znalazł się w rękach prawowitej władzy. Gmachy publiczne strzeżone były przez oddział tow. Cylińskiego. Po dokonaniu tej operacji trzeba było rozprawić się z głównymi siłami Suchonosowa, które ulokowane były w jednym ze szpitali na wzgórzu. Pozycja Suchonosowa panowała nad głównymi ulicami miasta i gmachem gubernjalnego sowietu. Walka trwała 15 godzin, w rezultacie żołnierze Suchonosowa zmusili swojego „atamana” do kapitulacji, licząc, że w ten sposób uchronią swoje głowy od odpowiedzialności. W czasie tych walk zginął tow. Cieśliński i jeden towarzysz nasz został ranny. Po roz-

brojeniu „żołnierzy” Suchonosowa i aresztowaniu przywódców „sztab nasz” zjawił się w kwaterze „Suchonosowa”.

Oczom naszym okazał się straszliwy w swojej grozie widok. Narabowane w czasie rewizyj nocnych przedmioty w ogromnym nieładzie leżały w kilku salach szpitalnych. Kosztowności, futra damskie, chirurgiczne instrumenty, chomonta — wszystko to leżało razem. Praca ludzka przez zgraję łotrów zdeptana była straszliwie!..

Po rozgromieniu bandy, ludność z ulgą odetchnęła. Miejskowa władza świecka zaś rozpoczęła energiczne kroki w kierunku stworzenia siły zbrojnej dla ochrony autorytetu miejscowej władzy i bezpieczeństwa ludności. W sekcji naszej było kilkudziesięciu wojskowych — Polaków, którzy z pismami od tow. Pużaka przyjeżdżali do Orła z różnych formacji. Postanowiliśmy w porozumieniu z komisarzem wojskowym zorganizować z nich regularny oddział imienia Mireckiego. Komendantem oddziału wyznaczony został polak Niwiński, komenda odbywała się w języku polskim. Zgwarantowałem sobie, że nasz polski rewolucyjny oddział nie będzie używany do walk wewnętrznych i do tłumienia rozruchów chłopskich, wówczas bardzo rozpowszechnionych. Komisarzem politycznym w tym oddziale z ramienia partii wyznaczaliśmy tow. Stanisława **Bérgera** (członka Rady Naczelnej). Dowódcą **Niwiński** (zdaje się, że to pseudonim) po dwóch miesiącach został zawieszony z powodu jakiejś malwersacji, o czym doniósł mi tow. **Berger**.

Akurat w tym czasie przyjechał do Orła, z listem od tow. Pużaka, p. Bek (obecnie podpułkownik i szef gabinetu p. Ministra Wojny). Przyjąłem p. Beka z otwartymi ramionami, w moim prywatnym mieszkaniu i po krótkiej rozmowie, zaproponowałem mu objęcie dowództwa nad osieroconym oddziałem. P. Bek propozycję przyjął i objął dowództwo. Po pewnym czasie oddział nasz w porozumieniu z Sekcją i tow. Pużakiem przesłany został do Ziarnowa na pogranicze ukraińskie. Charakterystyczne było, że oddział ten, zdaniem komisarza Gorbaczewskiego, uważany był za najpewniejszy: większość oddziałów wojskowych grabiła miejscową ludność i wracających do kraju wygnańców. Na specjalnej konferencji, przy udziale tow. Pużaka i przedstawicieli oddziału, ustalono, że w momencie wystąpienia **Petlury** przeciwko **Skoropadskiemu** i **Niemcom**, nasz oddział wojskowy miał połączyć się z Petlurą. Po przyjeździe do kraju, komunikowałem o tem ówczesnemu Naczelnikowi Państwa **Piłsudskiemu** na specjalnej konferencji.

Oficerów i żołnierzy, którzy przyjmowali udział w bitwie kaniowskiej, przyjmowałem serdecznie, źle było z aprowizacją, przeto rozlokowywałem większe grupy dzielnych tych żołnierzy w powiatach Orłowskiej gubernji. Wszelkim próbom werbowania wojskowych — Polaków do korpusu angielsko-francuskiego na Murman, przeciwstawiałem się stanowczo. Każdy żołnierz czy oficer, jeżeli chciał jechać do kraju przez Orsę lub Żmerynkę — otrzymywał ode mnie przepustkę, która ułatwiała mu przejazd przez terytorjum republiki sowieckiej. To samo czyniłem dla wszystkich Polaków, którzy chcieli jechać do kraju. Będąc komisarzem do spraw cywilnych, miałem nieograniczone prawo wydawania kart przejazdowych koleją i przepustek, z prawa tego korzystałem obszernie! We wrześniu przejechał z Moskwy do Orła tow. tow. Strug, Hołówko, oraz p. Sokolnicki. W Moskwie Dzierżyński rozpoczął represję przeciwko wojskowemu Polakom. Kilkunastu aresztowano, tow. Pużak zmuszony był interwenjować u Dzierżyńskiego. Pod wrażeniem represyj wyjechali nasi goście z Moskwy. Przyjąłem ich, jak tylko mogłem serdecznie, ulokowałem w najlepszym hotelu, a wieczorem zwołałem konferencję do sali konferencyjnej dawnych gubernatorów Orła. Z ust tow. tow. Struga, Hołówki i p. Sokolnickiego otrzymaliśmy informacje o tem, co się dzieje w kraju. Nie będę opisywał bezgranicznej radości, jaką nam zrobili nasi mili goście, opowiadając o kraju. Nie ukrywam, że po ich wyjeździe, ogarnęła mnie tęsknota do kraju, że nie mogłem sobie dać rady.

W miesiąc później przyjechał tow. Arciszewski z tow. Fużakiem. Tow. Arciszewski przywiózł polecenie z Centralnego Komitetu Robotniczego, żeby szereg towarzyszy udali się przez Ukrainę do kraju, gdyż potrzebni są do pracy w związkach zawodowych i kooperatywach. Tow. Arciszewski polecił mi, jako wystannik władz partyjnych z kraju, siedzieć w Orle do 1 stycznia 1919 roku. Niestety, złamałem rozkaz, gdyż wyjechałem z Orła w listopadzie 1918 roku, zabierając z sobą resztki wygnańców z dziećmi. W międzyczasie przyjeżdżałem trzykrotnie do Moskwy do tow. Pżaka, który pracował w komisarjacie polskim i w polskiej komisji Likwidacyjnej. Tow. Pużak mieszkał z tow. Grzecznarowskim, ten ostatni pracował, jako garbarz; tow. Grzecznarowski miał takie stosunki i dostawał chleb, kartofle i inne smaczności. W czasie mojego przyjazdu, tow. tow. P. i G. urządzali bibę, gotując baraninę na maszynce. Trzeba nie zapominać, że był to czas wielkiego głodu i braku produktów spożywczych w Moskwie i Petersburgu. Przez naiwność przywoziłem z „urodzajnego“ Orła dla nich chleb,

z owsem, ale oni nie poczuli się do wdzięczności — wręcz chleba mojego nie jedli!

Po odwiedzinach tow. Arciszewskiego, przestaliśmy się zajmować sprawami ogólnej polityki, pracowaliśmy z myślą o bliskim powrocie do kraju. W ciągu roku 1918 dwa razy przyjeżdżał z Moskwy komunista Łazoweter do Orła, próbując założyć sekcję polską komunistycznej partji. Pana tego grzecznie wypraszałem z terenu gubernji Orłowskiej. Przyjmowałem również udział w obchodzie rocznicy rewolucji październikowej. W pięknie udekorowanej sali jakiegoś gimnazjum, mówiłem na temat: „Co dała władza sowietów ludowi pracującemu”. Na postawione pytanie wręcz oświadczył, że — politycznie otrzymali władzę przywódcy bolszewicy, ekonomicznie klasa robotnicza pogorszyła swoją sytuację, od czasu objęcia władzy przez Sowiety. Mowa moja peszyła bolszewików, natomiast wśród przeciwników bolszewickich przyjęta została burza oklasków.

Po tej uroczystości radzono mi być ostrożnym, jeżeli nie chcę dostać się zpowrotem do więzienia, z którego wyszedłem.

W połowie listopada zdałem urząd swojemu następcy, urzędnicy zegnali mnie nadzwyczaj serdecznie, jak również część towarzyszy, która pozostała. Jak tylko zdecydowałem się na wyjazd, nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Rwałem się całą duszą do kraju, nie wiedząc, co będę robił i czy będę miał odpowiednią pracę zarobkową. W piękną listopadową noc opuściłem miasto wraz z gronem wygnańców. Opuszczałem miasto, w którego murach więziennych spędziłem najpiękniejsze młode lata, cierpiąc głód i upokorzenie.

Opuszczałem miasto — myślałem — które dało mi po 10 latach bólu i targania się pełną satysfakcję. Serce moje nie знаło zemsy, po zwycięskiej rewolucji w miarę sił swoich nie pozwoliłem znęcać się nad tymi, których rewolucja powaliła, pamiętałem zawsze, że jestem polskim rewolucjonistą, któremu nie wolno być mściwym!...

Rewolucja dała mi wolność i władzę, której nie użyłem nigdy dla spraw prywatnych, służyłem wiernie ludowi rosyjskiemu, który tak samo, jak lud polski, cierpiał i walczył za swoją i Naszą wolność!..

XXII

Wagon, w którym jechałem na zasadzie otrzymanego dokumentu, przyczepiony został do osobowego pociągu, idącego w kierunku Smoleńska.

Po ochłonięciu z wrażeń całodziennych, przysłuchiwałem się turkotowi mknącego pociągu, myśląc o najbliższej przyszłości. W miarę oddalania się od Orła w kierunku zachodnim, myśli moje coraz natęczywiej biegly do Kraju i moich najbliższych. Od czasu do czasu rozmyślałem nad tem, czy pieniądze, które otrzymałem tytułem odprawy, jako b. więzień polityczny, wystarczą mi na drogę. Wprawdzie otrzymałem 860 rubli, niemniej suma ta łatwo mogła stać się niewystarczająca z uwagi na trudności komunikacyjne. W dniu wyjazdu sumę tę przyznał mi Gubernjalny Komitet Wykonawczy, żebym miał za co powrócić do kraju.

Moi towarzysze podróży. rozłokowawszy się, spożywali wieczrę. Zajęty własnymi przeżyciami, byłem bardzo, bardzo daleki od tego, co mnie otaczało. O północy wszyscy zasnęli, ulokowawszy się każdy, gdzie mógł... Wpatrując się w ciemności nocy, ani na chwilę nie mogłem zasnąć...

Wracam do Kraju po dziesięciu latach katorgi, wracam do najdroższej rodziny, która przez całe 10 lat mojego pobytu w więzieniu nie miała możności komunikowania się ze mną. W wyobraźni wyobrażałem sobie radość Matki mojej, gdy przyjadę do niej. Z tęsknotą wyczekiwałem chwili przyjazdu do Wilna, gdzie przebywała moja żona, która o pół roku wcześniej ode mnie wyjechała z Orła. Oto gama uczuć, które opanowały całą moją duszę. Nad ranem, oparty o ścianę wagonu, zasnąłem. Obudziłem się już w momencie przyjazdu pociągu na dworzec kolejowy w Smoleńsku. Zaledwie wyszedłem z wagonu, otrzymałem informacje, że w Niemczech i Austrii jest rewolucja, a w Polsce uzbrojone oddziały powstańców rozbrajają okupantów niemiecko - austriackich.

Jak błysk słońca, opanowała mnie niewymowna radość, radość człowieka, który długie, bezsenne noce marzył o tej pięknej chwili, kiedy lud polski z orężem w ręce przepędzi najeźdźców z kraju naszego. „Jeszcze przebywam — myślałem — na terytorjum Rosji, oddzielony jestem od kraju kordonami wojsk niemieckich”, a jednak, czułem realnie, — widziałem oczyma duszy wielkie pochody na ulicach Warszawy i innych miast Polski, pochody triumfalne, które świadczyły o tem, że naczelny punkt programu naszej Partji — niezależna Republika Polska — w ogniu walk rewolucyjnych został zrealizowany! Naturalnie, daleki byłem od tego, żeby choć na chwilę przypuszczać, że w Warszawie grasuje Korfanty, urządzając dzikie uacjonalistyczne hece przeciwko Rządowi Ludowemu. Byłem świadkiem wielkiej rewolucji rosyjskiej, która mocarnymi dłońmi zmiotła

z powierzchni życia rosyjskiego feodalizm i rosyjską burżuazję. Rewolucję widziałem triumfując, jak najcudniejszą wiosnę. Przeżyłem chwile niezwykle podniosłe, gdy rewolucyjni żołnierze otwierali bramy więzienne, wypuszczając nas, długoletnich więźniów — na wolność.

Po przyjeździe do kraju byłem szczerze zawiedziony w moich płomiennych marzeniach.

Ze Smoleńska pośpiesznym pociągiem na drugi dzień wyjechaliśmy w stronę Orszy. Patrząc z okien wagonu, widziałem niezwykle w swoim rodzaju widowisko: torem kolejowym z zachodu na wschód szły ogromne masy jeńców wojennych. Widok ten był pełen grozy i bólu. Obdarci, w drewnianych chodakach, z workami na plecach, szli znękani głodem ludzie, których wojna światowa wyrwała z ich domostw, rzucając na pastwę losu. Kto widział tę wędrowkę ludów, kto widział tych nędzarzy obdartych, ten na pewno całą siłą duszy znienawidził tych wszystkich, którzy przyczynili się do wybuchu wojny światowej i do mordowni ludów.

W Orszy zatrzymano nasz wagon i w pierwszej chwili byliśmy powiadomieni, że za 3 tygodnie możemy być włączeni do pierwszego wyruszającego transportu, idącego w kierunku Mińska Litewskiego. Dzięki interwencji ewakuacyjnego komisarza rosyjskiego, zamiast za 3 tygodnie, przyczepiono nasz wagon do jakiegoś towarowo-wojskowego pociągu, wieczorem na drugi dzień. I tutaj także, jak na terytorjum, będącym w posiadaniu rosyjskiem, ciągnęły te same masy jeńców wojennych na wschód. Nikt im nie robił trudności i nikt nie pytał, czy mają „zagraniczne paszporty” na przejście granicy.

W Mińsku Litewskim zabawiłem trzy dni. Czwartego dnia udało mi się otrzymać przepustkę od władz niemieckich i wyjechałem przez Mołodeczno do Wilna.

W Wilnie byli Niemcy. Ale władzę nad miastem sprawowała Rada delegatów żołnierskich. Pomimo nadrabiania miną, widziało się, jak żelazna dyscyplina wojsk niemieckich pryska, widziało się, że pomimo zakazów, odbywają się spontaniczne zgromadzenia, proletariąt będący w podziemiach za okupacji, wychodzi na powierzchnię życia i tworzy własne robotnicze organizacje. Na jednym z tych zgromadzeń, byłem, i na niem przemawiałem do zebranych kolejarzy w imieniu P P S.

Po tygodniowym pobycie w Wilnie, postanowiłem jechać do Warszawy. Chciałem koniecznie być jak najprędzej w Warszawie, skomunikować się z Centralnym Komitetem Robotniczym, a później choć na parę dni pojechać do rodziny.

Otrzymałem przepustki na wyjazd z Wilna do Łap i w towarzystwie tow. Wiktora Wcisło, udaliśmy się w podróż.

O kilka kilometrów od Łap znajdował się posterunek wojsk polskich. Do tego posterunku, który się mieścił przy stacji kolejowej, trzeba było iść piechotą, a rzeczy ulokować na furmankach.

Niezatarte i niezapomniane wrażenie pozostawił we mnie widok umundurowanych polskich żołnierzy.

W parę tygodni po tem, na tym samym posterunku w Łapach jacyś żandarmi czyhali na powracających działaczy, którzy przyjmowali udział w rosyjskiej rewolucji, żeby nie wpuścić ich do kraju. Niektórych bez rozgłosu mordowano. Tak został zamordowany brat Fabierkiewicza. Ta sama banda zamordowała delegację rządu sowieckiego na czele z inż. Wiesiołowskim, którego znałem z orłowskiej katorgi.

Okło godziny 10-ej na jednej ze stacyj kolejowych, w drodze powrotnej w stronę Warszawy, kupiłem legalnego już „Robotnika”. Czytając napis na „Robotniku”: „Niech żyje rząd Robotniczo-Chłopski!”, byłem do łez rozczulony. Z „Robotnika” dowiedziałem się o hecach nacjonalistycznych Korfanteo w Warszawie. Chciałem w jednej chwili lotem ptaka przelecieć przestrzeń dzielącą mnie od Warszawy, a tu, jak na złość, pociąg nasz wlecze się straszliwie powoli.

Wpatrywałem się w każdy budynek stacyjny, żeby znaleźć symbol zwycięskiej rewolucji polskiej. Napróżno! Coś zatargało wewnątrz, poczułem zawód i jakgdyby upokorzenie. A pociąg straszliwie powoli wlecze się, konduktorzy powiadają, że parę dni temu wyrwane zostały wagony i lokomotywy okupacyjnym władzom niemieckim i naprędce zorganizowana została obsługa.

Srebrna wijąca się wstęga Wisły, jak promień szczęścia, widnieje przed oczyma naszymi. Przejeżdżamy most. Warszawa! Wychodzimy z wagonów na Marszałkowską. Ponuro, pada deszcz. Bierzemy z tow. Wcisło dorożkę i udajemy się do hotelu „Wiktoria”.

Okolo godz. 10-tej wieczorem wyszliśmy na miasto, żeby zobaczyć je nie z za zakratowanego okienka karety więziennej. Ogładamy Warszawę, jako wolni obywatele odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej. Szukam jakichś znaków, któreby mówiły o tem, że przed kilkunastu dniami odbyła się tu rewolucja, że z tego miasta wypędzono okupantów... Nic, ale to nic nie widać...

Na drugi dzień rano zgłosiłem się do Centralnego Komitetu Robotniczego. Przyjęła mnie tow. Zarembina. Polecono mi skomunikować się wieczorem z Centralnym Komitetem.

W ciągu dnia zaś udałem się do Ministerjum Pracy, żeby zobaczyć się z tow. **Prystorem**, który był wice-ministrem Pracy. a po rozmowie z nim, zgłosiłem się do tow. **Ziemięckiego**, jako Ministra Pracy.

Wieczorem ustalono, że zostanę przyjęty do Ministerjum Spraw Wewnętrznych, jako inspektor administracyjny.

Na drugi dzień skomunikowałem się z tow. **Barlickim**, ówczesnym Wice-ministrem Spraw Wewnętrznych i Ministrem **Thuguttem**. Zostałem urzędnikiem Rzeczypospolitej Polskiej.

Z mego powodu, po upadku Rządu Ludowego, b. Minister Spraw Wewnętrznych, p. **S. Wojciechowski**, miał bardzo dużo przykrości od różnych chuligańskich organizacyj nacjonalistycznych. Zasypywano Ministra **Wojciechowskiego** anonimami na mnie. Bał pisać donosy do prokuratora, a pod tymi donosami podpisywały się różne figury narodowej demokracji jak **Świętochowski** i **Laskiewicz**.

Na „donosie” do prokuratora podpisał swoje nazwisko osławiony p. **Narbutt**, „specjalista” od spirytusu. Nie przeszkodziło mu to zgłaszać się do mnie przed paru miesiącami o interwencję w sprawie artykułów o jego osobie w „**Robotniku**”. Zapomniał nieborak, ale ja nie zapominałem. Żałuję dziś jednego, że byłem wobec różnych osobników zbyt ludzki wtedy, gdy w rękach swoich trzymałem pełną władzę całej orłowskiej gubernji. A może lepiej, że przechodziłem z pogardą około napaści i pracowałem, i pracuję wśród tych, których nie uważano za ludzi.

Czy mam pisać w końcu swoich wspomnień o wizycie w Belwederze u Naczelnika Państwa **Piłsudskiego** po powrocie do kraju? Tyle się od tego czasu zmieniło, tyle się doznało zawodu, że lepiej o tem nie wspominać.

Po załatwieniu formalności z przyjęciem mnie do pracy, wyjechałem do Ostrowca, żeby zobaczyć się z rodzicami i z rodzeństwem. Przejeżdżałem przez opustoszałe miejscowości, gdzie niegdyś tryskające życiem zakłady fabryczne podobne były do cmentarzyska. Głód i nędza wyglądały z każdego domostwa robotniczego w tych okolicach. A oto pociąg podchodzi do stacji Ostrowiec. Wychodzę z wagonu w stronę kamienic fabrycznych, z bijącym sercem, czy aby zastanę żywych w domu.

Wchodzę do kamienicy, w której mieszkali rodzice. Pytam, gdzie mieszkają? Wskazują mi to samo mieszkanie, w którym mieszkali, gdy opuszczałem dom, unosząc głowę swoją przed pościgiem carskich siepaczy. Pukam do drzwi, otwiera mi Matka. Okrzyk radości, podobny do łkania, wyrywa się z jej piersi.

K O N I E C

KSIĘGARNIA ROBOTNICZA

WARSZAWA — WARECKA 9

Bakal — Montwiłł	1.50
— Okrzeja	—0.00
Baudonin de Courteney — Mój stosunek do kościoła	2.00
— Wyznaniowe i powyznaniowe śluby i rozwody	2.00
Daszyński — Sejm, Rząd, Król i dyktator	1.60
Fabierkiewicz — Rosja współczesna	5.50
— Inspekcja racy w 1925 r.	12.00
Frankowska — Ustawa o obowiązkowym ubezpieczeniu na wypadek choroby	7.00
Hauszyld — Poradnictwo w zakresie wyboru zawodu	2.00
Hołówek — O zmianie konstytucji	1.50
Iwanow — Powrót Buddy, powieść	3.30
Jagniałkowski — Religia Nowoczesna	—5.50
Karaffa-Korbutt — Nieszczęśliwe wypadki w przemyśle	—7.75
Korniłowicz — Wywczasy młodzieży pracującej	—6.00
— Fundusze na cele społeczno-kulturalne w górnictwie	—4.40
Krachelski — Łódzki przemysł włókienniczy wobec ustawodawstwa pracy	1.00
Krieger — Klasa robotnicza a prawo o Kasach Chorych	—2.25
Kropotkin — Zdobycie chleba	3.00
Kurejusz — Studium przyrodniczo-społeczne	—8.80
— Znaczenie domów ludowych w Polsce	—6.60
— Kobiety stańcie w szeregu	—0.05
Landau — Katechizm wolnomyśliciela	2.—
— Ośmiogodzinny dzień pracy	3.50
Leliwa — Problem skarbowy w świetle prawdy	2.00
Lieberman — Żądamy jednorocznej służby wojskowej	—2.25
Ławreniew — Czterdziesty pierwszy, powieść	4.60
Małynicz — Warszawskie szpitale miejskie	—7.75
Niedziałkowski — Teoria i praktyka socjalizmu wobec nowych zagadnień	5.00
— Obciążenie produkcji na rzecz ubezpieczeń społecznych	—8.80
— Praca i opieka społeczna, ze zyt 1, 2, 3, z 1927 roku	6.00
— Prawodawstwo obowiązujące w zakresie ochrony pracy, ubezpieczeń społecznych i opieki społecznej	
tom I Ochrona Pracy, zeszyt I	4.00
tom I Ochrona Pracy, zeszyt II	5.00
Pilniak — Iwan Moskwa, powieść	4.60
Posner — Liga Narodów (odczyt)	—2.20
— Z działalności humanitarnej Ligi Narodów	—5.50
Próchnik — W obronie demokratycznej ordynacji wyborczej	—5.50
Romanow — Pierwsza miłość nowele	4.60
Rychliński — Les Syndicats Professionnelles des Travailleurs	4.00
— Rocznik pracowniczych związków zawodowych w Polsce cz. I	9.00
Szczepański — Wskazówki dla obradujących	1.20
Szumański — Wspomnienia	1.50
Toeplitz — Zagadnienie polityki komunalnej	2.50

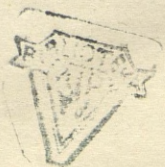
KSIĘGARNIA ROBOTNICZA

WARSZAWA—WARECKA 9—TEL. 229-70
Konto P. K. O. 1228

KSIĘGARNIA

posiada na składzie du-
ży wybór książek ze
wszystkich gałęzi wiedzy,
ze specjalnem uwzględ-
nieniem dzieł społeczno-
politycznych, ekonomicz-
nych, prawniczych i li-
teratury pięknej.
Zakładamy biblioteki dla
organizacji robotni-
czych, instytucji oświa-
towych, samorządowych,
miejskich i wiejskich.
Ekspedycja szybka.
Żądajcie katalogów.

2330



Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej

6925/1



11-006925-000-0